NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 5 sierpnia 1905 r. Nr. 32.

Krwawe sądy na złodziejach w Nowomińsku.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Krwawe sądy na złodziejach w Nowomińsku.

(Do illustracyi tytułowej).

Ciekawy fakt masowej zemsty ludności na okolicznych rzezimieszkach i złodziejach miał miejsce przed paru dniami w Nowomińsku.

Do Nowomińska a raczej do pobliskiej wsi Gwoździka, deportowano od dłuższego czasu przestępców rozmaitego rodzaju. Ludzie ci, skazani na osiedlenie, za kradzieże, rozboje i inne zbrodnie, byli prawdziwą plagą Nowomińska, bo nie było dnia, aby nieszczęśliwi mieszkańcy nie zawiadamiali tamtejszej władzy o śmiałych kradzieżach, jakich dokonywali osiedleni rabusie.

„Pobytowi", doprowadzali nieraz mieszkańców Nowomińska do prawdziwej rozpaczy. Ufni w swą siłę i przewagę, gdyż liczba ich dosięgała 500, rzucali się często na spokojnych przechodniów, odbierając im krwawo zapracowane mienie i raniąc przytem niebezpiecznie.

Ustawiczne kradzieże i rozboje były jednak poniekąd wytłómaczonym objawem ze strony rzezimieszków, gdyż władza, przesiedlając ich w nieznane kraje, nie pomyślała o tem, by ludziom, kroczącym drogą złodziejstw i rozbojów, zapewnić sprawiedliwy zarobek i w ten sposób sprowadzić ich na drogę cnoty. Przeciwnie! Władza rozkazała wyraźnie, by nowoprzybyły osiedleniec po załatwieniu najrozmaitszych formalności, wynajął sobie na własny koszt mieszkanie i nie przymierał głodem. Recydywiście złodziejowi nie znającemu okolicy, tamtejszych stosunków, cóż pozostaje innego — jak kroczyć dalej raz rozpoczętą drogą?

Kielich goryczy przepełnił fakt zesłania w ostatnich dniach kilkunastu niezwykle zręcznych operatorów cudzych kieszeń. Ustawiczne napaści, rabunki, złodziejstwa, przyczyniły się w końcu do tego, że wzburzenie ludności Nowomińska poczęło poważne przybierać rozmiary.

Kiedy przed kilku dniami dokonano jeszcze napadu i kradzieży na jednym z robotników i pobito przytem bogatego tamtejszego kupca, ludność cała nie posiadając się z oburzenia najzupełniej zresztą uzasadnionego, połączyła się z robotnikami fabryki Rudzkiego, by nad rozzuchwalonymi rzezimieszkami odbyć krwawe sądy. A sądy te były istotnie krwawe! Kiedy ludność cała zebrała się w liczbie 500, ruszyła uzbrojona we wszelaką broń i pociski do Gwoździka, siedziby złodziei-osiedleńców.

Część rzecimieszków, posłyszawszy wcześniej o zamierzonym odwecie, zbiegła, pozostała tylko nieliczna gromada walecznych, którzy ufni w doskonałą swą broń, żadną miarą ustąpić nie chcieli.

Rozpoczęła się tedy zaciekła walka. Z obu stron polała się niebawem obficie krew, z obu stron gęsto poczęły padać trupy. Zacietrzewienie dochodziło, jak opowiadają naoczni świadkowie, do tego stopnia że ludność Nowomińska, nie posiadając się ze wściekłości, darła się po trupach własnych towarzyszów do pojedynczych osad, gdzie wściekłość podjudzonej ludności wspaniałe zbierała żniwo.

Złodzieje musieli w końcu mimo nadludzkiej prawie walki, zwątpić w możliwość obrony i ratunek przed rozwścieczonym tłumem własnym nogom powierzyć. Chyłkiem, po kilku opuszczali posterunki i brocząc w kałużach krwi swych towarzyszów, uciekali do lasu.

Tak się przedstawiają krwawe sądy oburzonego ludu na rozzuchwalonych rzezimieszkach.

Illustracya nasza przedstawia chwile okropnego lynchu na złodziejach.



Fot. M. Münz. Lwów.

Pierwszy kryty faeton we Lwowie: Faeton wykonany według wzorów p. A. Kurkowskiego.



Żałobna narodowa rocznica: Grono młodzieży lwowskiej u stóp pomnika męczenników za wolność ludu: Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego.

Żałobna narodowa rocznica.

Każda wielka idea ma swoich proroków, męczenników — i judaszów. Historya świata wykazuje, że posiew krwi, niesłusznie i bezprawnie wylanej, którą ciemiężyciele ludów chcą ugasić ogień rewolucyi — wprost przeciwny skutek odnosi. Krew owa woła o pomstę zarówno do Boga — jak ludzi; z krwi tej powstają mściciele, przed którymi drżą trony i potęgi tego świata.

Przenieśmy się myślą w r. 1846—7 naszych dziejów, w owe czasy, o których natchniony wieszcz narodowy śpiewa usprawiedliwiając przed Bogiem okropny czyn bratobójstwa (rzeź galicyjska r. 1847.) — „Ależ o Panie! Oni niewinni, choć przyszłość naszą cofnęli wstecz! Inni szatani byli tu czynni..." Otóż w owych czasach wielkich nadziei, wielkich zawodów i boleści wyłoniła się wśród części niezdeprawowanego, lepiej myślącego społeczeństwa idea usamowolnienia mas ludowych, a inicyatorzy jej wychodzili ze słusznego założenia, że jedyną najzdrowszą częścią, że się tak wyrazimy rdzeniem społeczeństwa, jest

lud. I rozwinięto silną agitacyę w tym kierunku. Od wsi do wsi, od chaty do chaty chodzili emisaryusze niosąc posiew wolności i uświadomienia gnębionemu od wieków ludowi. Dziwić się nie można, że zacne usiłowania jednostek nie zawsze i nie wszędzie odnosiły swój skutek. Krzywdy wiekowe trudno zmazać jednem dobrem słowem... Usprawiedliwiona po części nieufność chłopa znalazła sprzymierzeńca w perfidyi i złej woli ówczesnego kierownika państwowej nawy Austryi — Metternichu. Owocem to jego działań była słynna rzeź galicyjska w r. 1847.

Za nim jednak do dziejowej, bezprzykładnej katastrofy przyszło, ludzie pełni poświęcenia i zaparcia się siebie pracowali usilnie nad ludem. W gronie ich znalazł się niezapomnianej pamięci Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński.

Teofil Wiśniowski działał w Galicyi jako emisaryusz Towarzystwa demokratycznego polskiego, które postanowiło przeprowadzić sprawę uwłaszczenia włościan. Zdolny, niezmordowany, czynny, wykształcony wszechstronnie, należał Wiśniowski do najzdolniejszych agitatorów w sprawie uwłaszczenia włościan i zjednoczenia dworu z gminą, by potem wspólnymi siłami odzyskać utraconą niepodległość.

Rzeź chłopska, która tak niespodzianie zaskoczyła organizacyjno-rewolucyjną pracę przez emisaryuszów wszczętą — zwichnęła zamierzone powstanie, a Wiśniowski wraz z Kapuścińskim dostał się do więzienia. Oskarżeni o zdradę stanu, skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie — a haniebny ten wyrok wykonano na nich 31. lipca rano na odkrytym publicznym miejscu we Lwowie.

Miejsce stracenia upamiętnił naród polski — za nastaniem konstytucyjnej ery — postawieniem wspaniałego obelisku opatrzonego stosownym napisem.

Rocznicę stracenia święci Lwów uroczystym obchodem u stóp pomnika narodowych męczenników. I wtedy rozbrzmiewa „błagalny śpiew" z ust młodzieży lwowskiej — słynny chorał: „My już bez skargi nie znamy śpiewu, wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń"...



Ścięcie kobiety w Poznaniu: Pelagia Pawlukowa przed straceniem.

Strejk robotników budowlanych we Lwowie.

W dniu 10 lipca b. r., wybuchł we Lwowie strejk robotników budowlanych, a wybuchł zupełnie niespodziewanie.

Geneza tego strejku jest następująca:

Po pamiętnym, tak krwawo w rocznikach Lwowa zapisanym strejku budowlanym w r. 1902, zawarli pracodawcy z robotnikami ugodę, którą przyznali im cały szereg ustępstw. Powoli jednak poczęli niektórzy przedsiębiorcy uchylać się od wypełniania przyjętych na się zobowiązań wobec robotników i umiejszać im płace, które i tak z powodu wzrastającej we Lwowie z roku na rok drożyzny, stały się obecnie niewystarczającymi. To też z wiosną tego roku wszczął się wśród robotników budowlanych ruch, domagający się lepszych warunków pracy i podwyższenia płac, a co najmniej ścisłego dotrzymywania ugody z r. 1902. Przez cały prawie czerwiec toczyły się rokowania między delegatami pracodawców a delegatami robotników; rokowania te, kilkakrotnie zrywane, nawiązywano na nowo; robotnicy grozili strejkiem, który wobec bardzo znacznie w tym roku wzmożonego ruchu budowlanego we Lwowie, zdawał się mieć wszelkie szanse powodzenia. Opinia publiczna w mieście całem była wysoce zaniepokojoną tym sporem, tem więcej, że żyjemy nieustannie pod wrażeniem szarpiących nerwy wieści z zaboru rosyjskiego, a nikt nie mógł ręczyć, czy w razie strejku nie zajdą u nas podobne jak tam sceny, lub czy nie powtórzą się krwawe dni czerwcowe z 1902 r. Ostatecznie jednak w dniu 1 lipca br., załatwiono rzecz ugodowo: pracodawcy mianowicie zgodzili się na pewne ustępstwa dla robotników, w szczególności przyznali im o 10% wyższe wynagrodzenie, a robotnicy odstąpili od niektórych żądań, przedewszystkiem zaś odstąpili od zamiaru strejkowania.

Burza więc, która wisiała nad miastem, została — jak się zdawało — zażegnaną. To też ogólne zdumienie wywołała w całem mieście wieść, która się dnia 10 lipca najniespodziewaniej rozeszła, że wybuchł strejk robotników budowlanych. A strejk ten istotnie wybuchł. Okazało się mianowicie, że prawie wszyscy pracodawcy – z wyjątkiem czteru — odnosili 10% podwyższenia płacy tylko do pewnej kategoryi robotników, a nie do ich ogółu, jak znowu interpretowali ugodę robotnicy. Gdy tedy w sobotę 7 lipca zastosowano przy wypłatach cennik, obowiązujący przed ugodą lipcową, robotnicy uznali to za niedotrzymanie warunków świeżo zawartej ugody i w poniedziałek 10 lipca samorzutnie rozpoczęli strejk.

Strejk ten został przez obopólne ustępstwa zakończony dnia 31 lipca.



Strejk robotników budowlanych we Lwowie: Robotnicy po zgromadzeniu.

Ścięcie kobiety w Poznaniu.

Przed paru dniami mieli mieszkańcy miasta Poznania sposobność obserwowania ścięcia kobiety.

Przed czerwonymi plakatami, ogłaszającymi niezwłoczną śmierć Pelagii Pawlukowej, skazanej na ścięcie za otrucie swego męża, gromadziły się od wczesnego rana tłumy ciekawych przechodniów. Ich ciekawość zwiększała się, a spotęgowała do maximum, gdy w oznaczonym czasie ujrzeli Pawlukową prowadzono na ścięcie. Prośbę o ułaskawienie, którą prokuratorya nawet poparła — odrzucono w ostatniej chwili. Pawlukowa zażądała kapłana, chcąc się przygotować do drogi na tamten świat. Starała się wyrok przyjąć obojętnie. Kiedy jednak stanowcza chwila nadeszła, załkała głośno, kryjąc twarz w dłonie. Za chwilę głowa jej spadła. Świadkowie tej strasznej sceny, która trwała zaledwie 3 minuty, opowiadają zgodnie, że twarz jej dziwnie wyglądała po śmierci. Strach przed śmiercią, który przed egzekucyą ukrywał się widać było wyraźnie po spełnieniu wyroku w oczach skazanej.

Pierwszy kryty faeton we Lwowie.

Lwów podnosi się z roku na rok coraz bardziej. Rozszerza się i zabudowuje coraz szerzej, powstaje mnóstwo nowych ulic, budowanych już na sposób europejski, szerokich, dobrze oświetlonych i wybrukowanych. W ostatnich czasach pozyskał Lwów jeszcze jedną nowość, mianowicie faetony kryte.

Pierwszy kryty faeton, wykonany został podług wzorów p. Antoniego Kurkowskiego, przedsiębiorcy lwowskiego, wyłącznie krajowemi siłami. Jest to pojazd bardzo lekki, opierający się na wysokich resorach. Skonstruowany jest tak pięknie, wykończenie jest tak czyste, że stanowi on najlepszy dowód, co możemy u siebie produkować, jak wysoko stoją nasze przemysłowe zakłady.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

10 (Ciąg dalszy).

— Ja wiem, że wy, kolego — mówi Schweiger zwolna, ze spuszczonemi oczyma — znacie kardynalne zasady, ale nic nie szkodzi przypomnieć je sobie od czasu do czasu. Kwestyę Boga, wiary, religii zostawiamy uznaniu osobistemu... zresztą formy i wierzenia zmienią się przy zmienionych warunkach socyalnych, ale dziś, gdy religie są podporą kapitalistycznego ustroju, musimy je zwalczać z całych sił i mocy naszej. Zgadzacie się?

— Słucham... odpowiem później, cóż dalej?

— Robotnicy nie mają ojczyzny, mówi Manifest, to znaczy, że obcą powinna im być burżuazyjna, sztucznie wszczepiona narodowość, któraby rozdwajała ich siły i szeregi. Wszyscy są braćmi i wszyscy wspólnie prowadzić mają walkę klasową, robotniczą przeciw kapitalizmowi, wywalczyć ustrój socyalistyczny, a nie narodowy, a tem mniej państwowy. I takie zachcianki musimy bezwarunkowo potępić i zwalczać wszelkiemi siłami i sposobami. Ja skończyłem... cóż kolega na to?

— Odpowiem wam szczerze, jako towarzyszom i kolegom — zaczął spokojnie, ważąc każde słowo — zganiłem wczoraj Waldmanowi jego pochopność rzucania drażniących zdań, powtarzam to i dzisiaj. My walczymy, jako partya, nie o teoretyczne, urojone zdobycze, ale o faktyczne zwycięstwo nad kapitalizmem, przy zjednoczeniu mas robotniczych i uszeregowaniu ich w uświadomioną klasę. Zgadzacie się?

— No, to jasne — zamruczał Schweiger.

— Prowadzący walkę, czy to wódz, czy podwładny, musi stosować się do terenu, a nie teren do niego. My działamy wśród polskiego narodu, katolickiego i z poczuciem narodowem, dzięki uciskowi stuletniemu. Dążymy do zniszczenia kapitalizmu i ten cel, główny, wyraźny, powinniśmy mieć przed oczyma, szeregując polskich robotników i na to dążenie kłaść główny nacisk.

— My też to robimy — przerwał Waldman.

— Nie odstępując więc w niczem od zasad, nie uchylając się od ich propagandy, nie uważam za stosowne, ze względu na nasz cel główny, drażnienia uczuć religijnych i narodowościowych naszych robotników, zbytecznego podkreślania i akcentowania ateizmu i międzynarodowości.

— Schweiger, czy to nie oportunizm? — śmiał się głośno Waldman.

— Tego nie powiem — mówił wezwany z namysłem — ale to przymieszka burżuazyjnej polityki, niegodna naszej partyi. Czysty socyalny demokrata idzie zawsze prawdą i mówi zawsze prawdę. Robotnicy muszą znać nasze hasła: precz z religią! precz z narodowością! I wy, kolego Żalecki, po namyśle zgodzicie się ze mną. Co?

— Zdaje mi się — uśmiechnęła się Olga — że kolega Schweiger tak mówi, jakgdyby z wyuczonym programem partyi socyalno-demokratycznej spadł w tej chwili z nieba na ziemię. Nie zapprzeczycie, kolego, że świat dzisiejszy dzieli się na państwa i narody, a my tylko w tych środowiskach pracujemy i musimy do nich stosować naszą taktykę, a nie w bezmiarach idealnego braterstwa, które kiedyś nastąpi.

Schweiger patrzał na nią przymrużonemi oczyma, z miną znudzonego uczonego. a gdy skończyła, odezwał się:

— Ja wam, koleżanko, jedno odpowiem; aby braterstwo nastało, trzeba je szerzyć, a nie można popierać utopii narodowościowej.

— Ona już osądzona i pogrzebana — dodał Waldman z przekąsem.

— Nie bądźcież fanatykami, zaciekłymi doktrynerami — przemówił Żalecki — wszak nawet Manifest głosi — tu wziął broszurę do ręki — na stronie 23, że „robotnicy, dążąc do pochwycenia władzy politycznej, do zorganizowania się w klasę narodową, do ukonstytuowania się jako naród — muszą być, a więc i proletaryat: narodowym, jakkolwiek nigdy w znaczeniu burżuazyjnem“. Czyż nie odróżniamy socyalnych demokratów, jako niemieckich, francuskich, włoskich? Dlaczego przeczycie narodowości?

— To są państwa polityczne i odróżniamy ich państwowo, nie narodowo — zawołał z gwałtownością Waldman.

— Gra słów, nic więcej — wzruszył ramionami Żalecki.

— To nie gra słów — zaperzył się Waldman — pokaż mi, gdzie jest Polska?

— Wyjdźże na ulicę, a obaczysz — zaśmiał się wesoło Żalecki.

— Nie, kolego, wy nie macie racyi — przemówił Schweiger — a Waldman ma... My, socyalni demokraci, walczymy o osiągnięcie władzy politycznej w politycznych państwach i to jest w porządku. A państwa polskiego niema wcale i nie chcemy go, bo ono pomnoży tylko naszych wrogów. Mówicie, kolego Żalecki, idź na ulicę, a obaczysz Polskę... nie, kolego, to Galicya, część politycznego państwa austryackiego, i u nas zobowiązuje program socyalnej demokracyi austryackiej.

Przy tych słowach Olga i Żalecki spojrzeli sobie w oczy i oboje westchnęli, a Helena, która aż wypieków dostała, słuchając dyskusyi, zawołała:

— Koledzy Schweiger i Waldman mają zawsze na ustach braterstwo, lecz niech padnie słowo: polskość, obydwaj chowają się zaraz za płot partykularnych państwowych interesów. Zwalczamy tak dobrze kapitalizm, militaryzm, wszelką niewolę i ustrój państwowy, skądże taki szacunek dla państwa i jego nietykalności jako całości, gdy idzie o nas? Państwa, jak uczy nas historya, rozpadają się i giną, a narody trwają i żyją. Jako państwo nie istniejemy, jako naród żyjemy i żyć będziemy, czy w ustroju feudalnym, burżuazyjnym, socyalistycznym, czy innym.

— Koleżanko Borwicz — rzekł spokojnie Schweiger — przeczytajcie sobie, co pisze o Polsce Mehring i Kautsky... ja się ich trzymam.

— Wy, kolego Schweiger — wmieszała się Olga — nie wyszliście z epoki ślepej wiary w drukowane słowo i powagi uznane — uśmiechnęła się ironicznie — a my czytamy krytycznie i mamy otwarte oczy na fakta rzeczywiste.

— Widzę — westchnął Schweiger, zwiesiwszy głowę — że tylko nas dwóch, ja i Waldman, jesteśmy czyści socyalni demokraci.

— Ortodoksyjni, jedyni — zaśmiała się Helena.

Drzwi otwarły się dość gwałtownie i szybko wszedł Walczak, a rzuciwszy okiem na siedzących, rzekł:

— Jesteście?... To dobrze, potrzebuję waszej pomocy. Od wczoraj mam u siebie dwóch robotników z Warszawy, udało im się uciec... porządne chłopy, zakłuli szpicla.

— Czy znacie ich, kolego? — spytał Schweiger.

— Polecono mi ich z Warszawy, ale nie w tem rzecz... Miałem w tym miesiącu... wydatki... teraz znów... a ich trzeba przekarmić, przenocować i wyszukać zajęcie. Wyszeptałem się co do gronia, musicie pomódz.

— Ależ naturalnie! — zawołał Żalecki — dawajcie ich tu, zajmiemy się niemi.

— Zaraz przyprowadzę — i wyszedł.

— To bardzo dzielny człowiek — pochwalił Walczaka Żalecki.

— Ma despotyczne zachcianki — mruknęła z grymasem niechęci Helena.

— On? — zdziwił się Żalecki — ależ to człowiek bez żółci, dobry, uczynny... i wiecie, z tych marnych lekcyi pomaga jeszcze rodzicom, a właściwie matce.

— To zwykły obowiązek — rzekła Helena chłodno.

— Wy coś cierpicie do niego — uśmiechnął się Żalecki — a byliśmy świadkami z kolegą Schweigerem awantury, którą zrobił kilku kolegom o was. Myślałem, że ich powyrzuca przez okno, bo on silny.. silniejszy odemnie, a ja przecież nie ułomek — wyciągnął wielką, kościstą rękę.

— On? o mnie?... A to ciekawe! — zaśmiała się nieszczerze — i o co poszło?

— Ee, czy to warto mówić?

— Kolego Schweiger, powiedzcie mi.

— Chcecie, to wam powiem. Kilku kolegów zabawiało się i jeden z nich powiedział, że do socyalnej demokracyi dlatego należycie, bo ona propaguje wolną miłość. Oni się śmiali, a on kazał im milczeć i wyjść za drzwi. Ja go szanuję za odwagę i siłę.

Helena z czerwonej zrobiła się bladą i szepnęła przez zaciśnięte usta:

— Podli!

— To samo on powiedział — dodał flegmatycznie Schweiger.

— Ja byłbym to samo zrobił, co Walczak — rzekł Waldman.

— Ty byłbyś to samo pomyślał — uśmiechnął się Schweiger — ich było pięciu, wyższych od ciebie.

— Ty mnie nie znasz... ale wracając do naszego sporu — zaczął Waldman.

— Dajcie spokój — nachmurzył się Żalecki — wyznajemy te same zasady... a chcecie je narzucać innym jaskrawo, to rzecz temperamentu.

— I przekonań — dorzucił Schweiger.

— Zdaje mi się — odezwała się Olga — żeby trzebaby było przyjąć czem tych robotników.

— Zgoda! — zawołał wesoło Żalecki — piękne panie i panowie! prosimy o składkę — rzucił parę drobnych monet na stół — a ty, Waldman, jako gospodarz, postaraj się o elegancyę i salon.

— Ja poszukam u sąsiada samowaru, albo maszynki do gotowania — powiedziała Helena, wstając.

— A co ja będę robił? — spytał Schweiger.

— Wy, kolego — zaśmiał się Żalecki — będziecie reprezentowali powagę „Pochodni“, siedźcie jako senator.

— Ja nie uznaję senatu.

— I w naszem przyszłem państwie będzie senat starców mądrych... my was dziś już mianujemy.

— Co wy, Żalecki, dzisiaj tacy weseli? — rzekł Schweiger z powagą.

— Uczony senatorze, mylisz się... jestem smutny — zrobił minę zgnębionego i po chwili dodał — ale, ale, prześwietny wydziale, gdzie umieścimy robotników, źródło i cel naszej pracy. Ja od biedy wezmę jednego...

— Wziąłbym drugiego, ale lada dzień spodziewam się ojca, nie mogę — usprawiedliwiał się Waldman.

— A nas śpi w pokoju troje, a kuchnia ledwie starczy, aby przecisnął się gruby człowiek — uśmiechnął się dobrodusznie Schweiger.

— Niech śpi w lokalu „Pochodni“ — doradziła Olga.

— Bardzo dobrze! — zawołał Żalecki — gospodarzu Waldmanie, łóżko, pościel, dywany...

— Ależ nieporządek u sąsiada — mówiła Helena, wychodząc z przyległego pokoiku — ledwie odszukałam maszynkę i spirytus.

— Idę po zakupno! — zawołała Olga — co państwo każą? Mamy w kasie dwie korony i trzydzieści halerzy.

— Kucharko! — mówił z powagą Żalecki — nie kupuj trufli, ani bażanta, ani indyka...

— Ani sarny, ani dzika — śmiał się głośno Waldman, ucieszony rymem.

— Tylko kiełbasy, bułek, chleba, herbaty i cukru.

— Idę już — zwróciła się ku drzwiom.

— Kucharko, a oszczędnie — wołał za nią Żaleck! — dużo a tanio!

— Kolego Schweiger — mówił poważnie z wymówką w głosie — wypadało wam wyręczyć koleżankę Wojtyrską, siedzicie jak malowani, a wszyscy pracują dla was, kapitalisto!

— Wyzyskiwaczu!

— Burżuju!

— Milczcie, niewolnicy, bo zawołam wojsko, policyę, żandarmeryę — mówił Schweiger z niezamąconą powagą, co wywołało wybuch wesołości — do warstatu! do roboty!

— Idziemy już!

— Litości! — skomleli na różne tony, porządkując przy tem pisma, przygotowując szklanki.

Pokazało się, że są trzy szklanki, z tych jedna pęknięta, i gdy Żalecki z Heleną poszli przeszukiwać pokój sąsiada, Waldman zbiegł do stróżki, wołając:

— Schweiger, pilnuj maszynki! — a ten posłuszny, nie odrywał oczu od płomienia.

Poszukiwania u sąsiada były bezskuteczne, a Helena poczęła żałośnie narzekać:

— Takiej nędzy, jak w „Pochodni“ nie widziałam, ani obrusa, ani srebra, ani zastawy...

— Ani smutku, ani rozpaczy, ani żalu — ciągnął tym samym tonem Żalecki.

— Czegóż wy tak lamentujecie? — zawołała Olga z progu.

— Nad twą rozrzutnością, kucharko! Ile wzięłaś koszykowego?

— Burżuju nienasycony, nie dotykaj mego honoru! — zawołała rozweselona.

Przy rozkładaniu zapasów, przyniesionych na papierach i gazetach, znów posypały się żarty, koncepta, dowcipy.

Rozbawieni, nawet nie zauważyli skrzypu drzwi, w których stanął Walczak, lecz poczuli magnetyczne jego spojrzenie, umilkli i spoważnieli na widok jego surowej, posępnej twarzy.

Wszedł, a za nim dwóch robotników, porządnie ubranych, tylko zapadłe, żółtawe twarze świadczyły o ich zmęczeniu.

— Koledzy! przedstawiam wam dwóch dzielnych towarzyszy: Andrzej Płużek, odlewacz — wskazał na blondyna trzydziestokilkuletniego, niskiego, szczupłego, z małym wąsem, — i Tomasz Rózga, kowal fabryczny — brunet, średniego wzrostu, barczysty, z krótko przyciętą brodą.

— Witajcie nam — podszedł Żalecki, podając rękę, a za nim inni.

— Dobry wieczór paniom i panom — skłonili się grzecznie.

— Bez tych ceremonii, towarzysze — uśmiechnął się Walczak — jesteście wśród swoich, mówcie: towarzyszko i towarzyszu. — No, rozgośćcie się!...

Gdy usiedli za stołem, a Helena i Olga nalały herbaty, jedli wszyscy, zapraszając gości usilnie, a rozmowa toczyła się ogólnikowa, o Warszawie, gdzie obaj pracowali, o drożyźnie...

— A jaką mieliście drogę, towarzysze? — spytał Żalecki.

— Ciężką... niech ręka Boska broni — odpowiedział Płużek, może nazbyt donośnym głosem, ale przyjemnym w głosie — ale nas nie dostali w swe ręce, te psubraty Mochy.

— Jakże to było? — spytała Olga — bo wiem, jak to trudno ujść.

— To pani — a po chwili zmieszania — towarzyszka z naszych stron? — rozjaśniła mu się twarz.

— Znam ja i policyę i żandarmów.

— To już chyba opowiem od początku?

— Prosimy was, towarzyszu.

— I ja proszę — dodał Walczak — bo dokładnie nie opowiedzieliście.

— Zaraz... słuchajcie Tomaszu — zwrócił się do towarzysza — a kiedy to pierwszy raz zmiarkowaliśmy szpiegostwo? Czy nie jakoś po Gromnicznej?



— To nie gra słów — zaperzył się Waldman — pokaż mi, gdzie jest Polska?

— Tak, tak... na dwa tygodnie przed Wielkanocą... pamiętam, bo moja mi chorzała.

— Otóż jakoś z początkiem jesieni, rok już minął, stanął w naszej fabryce przy piecu robotnik, chłop jak dąb, i hycel po naszemu się nazywał, Jan Kobza. No i nic... pracuje... lon bierze... tylko, ze znajomości lubił, a i pił setnie, ale że to w kawalerskim stanie, to i nie bardzo dziwowaliśmy się temu.

— A ja mówiłem, że mu źle z oczu patrzy — dodał kowal Rózga.

— Prawda, ale nikt wam nie wierzył, bo wy lubicie łatkę przypiąć — uśmiechnął się. — Otóż, jak się rzekło, on był w fabryce i zwyczajnie razem się chodziło, gawędziło. No i cóż się nie robi? Jako nam Moskale polskie szkoły zabrali i uczyć po polsku zabraniają pod karą i aresztem, tak my, ojcowie, nie mogliśmy ścierpieć, aby nasze dzieci nie umiały nawet pomodlić się na książce i uradziliśmy zrobić polską szkołę w mieszkaniu jednego z kolegów, a nauczycielowi płacić. Znalazł się student i ochotnie uczył i nawet swego dał na książki co biedniejszym. Aż tu jednego dnia zgraja Moskali, policyi, iszczyków. żandarmów obstąpili dom... studenta do cytadeli; kolegę i jego żonę, co nam stancyi użyczyli, do aresztu; i dopiero straszyć, bić dzieci, aby powiedziały nazwiska swoje. No, mój mały zmyślny — rozjaśniła mu się twarz.

— A i mój także — pochwalił się kowal.

— I wasz także, chociaż to maleństwo, bo mój dziesiąty, a wasz siódmy rok, jednak nie powiedzieli nazwiska prawdziwego... ledwie to od ziemi odrosło, a wie już, jak z Moskalem poczynać...

I nas ominęła kara, ale kupa narodu zapłaciła sztraf, a co dni namarnowała po cyrkułach, policyach, sądach...

Obydwaj wzdychali smutnie i dopiero po chwili mówił dalej:

— W głowę zachodzimy, kto zdradził? Aż tu zabierają naszą robotniczą kasę, cośmy sami robotnicy składali po kilka groszy na pomoc po aresztowanych i krzywdzonych, a skarbnika precz wypędzają. To znów czepiają się robotników o pieśni, co śpiewają, o książki wszelakie... ano, jasnem dla nas, że ktoś swój, ale kto? Słyszy raz moja w sklepie, że ten Kobza rozmawia po moskiewsku z kimś, powiedziała mi, ja dalej śledzić, nie spuściłem go z oczu na krok, ni w dzień, ni w nocy. Widzę, ma konszachty z Moskalami... aż raz wita się z tajnym ajentem. Mam cię, już mi nie ujdziesz. Zmówiłem się z Tomaszem — spojrzał na towarzysza — ale przecież bez sądu i dowodu nie uśmiercimy go. Upatrzyliśmy chwilę, on idzie na nas, staję i powiadam, jako wiem, żeś ty szpieg i zdrajca, a on pyta o dowody. Mówię mu, co wiedziałem, ten widzi, że nas tylko dwóch, a stójkowy, niby policyant, na rogu, powiada: Jam ci jest, nie buntujcie się, i do mnie z rewolwerem. Schwyciłem za rękę, skręciłem na wiór, krzyknął, jak wściekły, a Tomasz pod serce nożem. Stójkowy gwizdnął, leci, strzela, dobiegł mnie, ale jak nim trzasnę o mur, tak padł, a tu już lecą ze wszystkich stron. Dopadliśmy fabryki, szukaj nas teraz, już my uratowani... Ale zwiedzieli się, psubraty, że to my... i dlatego oto tu jesteśmy, bo człowiek ma tylko jedną głowę.

— Jakże trafiliście do towarzystwa Walczaka?

— Nasz dziesiętnik pobiegł w te pędy do setnika, a ten dał nam adres do Krakowa, i od przypadku, do Dąbrowy Górniczej.

— Ależ wy, towarzyszu, mocni! — podziwiał Żalecki — a nie wyglądacie na takiego?

— Chwalić Pana Boga, siłę to mam.

— Dziesiątkę miedzianą zegnie w dwóch palcach — pochwalił Rózga.

— No, i tobie nie brak siły... jak uściśnie po przyjaźni, to żebra trzeszczą.

— Więc wy, towarzysze, jesteście socyaliści? — spytał Waldman.

— To się wie... poco pytać? — uśmiechnął się Tomasz Rózga.

— I macie dużą organizacyę?... Dużo was jest? Kto należy? — ciągnął dalej Waldman.

— Organizacya jest — odpowiedział z miną podejrzliwą Płużek — ilu nas jest i kto do niej należy... jako sam nie wiem, tak i wam nie powiem.

— Ostrożność wasza dobra jest — uśmiechnął się Schweiger — zawsze lepiej robić, niż mówić. Ale my tu sami swoi, a wasza partya, to nasza partya... wy naturalnie esdeki... przepraszam, wy socyalni demokraci — Schweiger pomylił się — w potocznej bowiem gwarze używa się zamiast długiego określenia, początkowych liter S. D.

— My socyaliści i tyle... żydzi mają także swój Bund, a my między sobą — objaśnił Rózga — i nie wiem o co idzie?

— Widzicie towarzyszu — zaczął Żalecki — są socyaliści tacy, którzy pragną, aby na całym świecie było dobrze robotnikom; aby jedni drugim nie przeszkadzali, ale byli ze sobą jak bracia...

— To my właśnie tacy — zawołał ucieszony Rózga — ty nie pchaj się do mnie, ja nie pójdę do ciebie. Każdy w swoim kraju gospodarzem, a nie jak te Niemcy szołdry, co lezą w Sosnowice i w Dąbrowę... albo Moskale, co po kilkuset przyjeżdżają do Warszawy i biednemu narodowi chleb odbierają...

— Oni są jeszcze nieuświadomieni — rzekł Szweiger — ale gdy nimi zostaną...

— Zanim słońce zejdzie, rosa oczy wyje — zaśmiał się Płużek — i my na to są socyaliści, aby pracującemu narodowi dobrze było, aby mówił po swojemu, uczył się po swojemu, modlił się po swojemu.

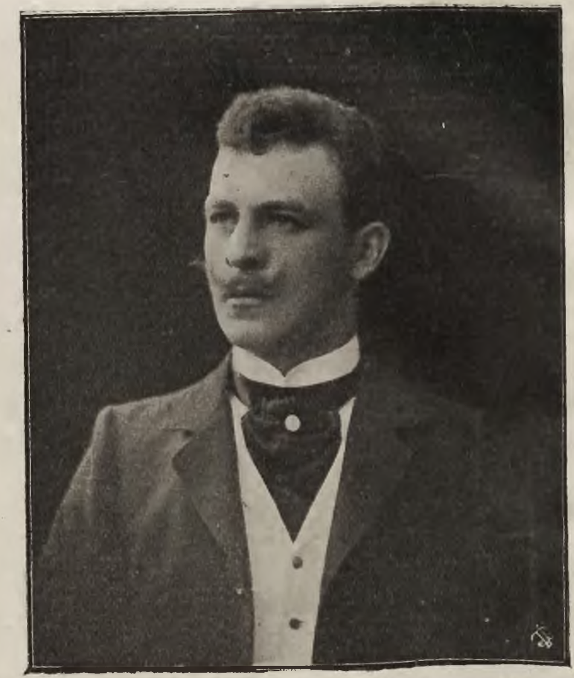
(Ciąg dalszy nastąpi).



Teatr powszechny popularny w Krakowie: Dyrektor Grzegorz Senowski.



Teatr powszechny popularny w Krakowie: Reżyser: Edward Czermański.



Teatr powszechny popularny w Krakowie: Dyrektor Józef Brzeziński.

Teatr powszechny popularny w Krakowie.

Na czas kanikuły letniej, na czas wakacyi powstał w Krakowie teatr, który, dzięki energicznemu kierownictwu, doskonałemu zespołowi grających, oraz trafnemu doborowi sztuk, pozyskał wkrótce sympatyę całej publiczności, zwłaszcza wśród sfer mniej zamożnych. Teatr powszechny popularny stał się też od pewnego czasu ogniskiem, gdzie masy ludzi szukają wytchnienia po pracy, szukają wesołości, która tam tryska ze sceny, jak źródło z pośród skał. Rzecz to charakterystyczna, bo krakowska publiczność znaną jest ze swoich bardzo wysokich wymagań na punkcie teatru; fakt zaś, że teatr na placu Wielopole pozyskał sobie odrazu sympatyę tej publiczności, jest najlepszym dowodem, że teatr jest dobry, że zaspakaja potrzeby wielkiej części ludności, że wogóle odpowiada jej wymaganiom. Trzeba przyznać, że pp. Brzeziński i Senowski, kierownicy i założyciele teatru powszechnego, mieli szczęśliwą rękę i trafili w gust Krakowianom. Każde bowiem przedstawienie zgromadza w olbrzymiej widowni cyrkowej — teatr powszechny mieści się w budynku pocyrkowym, odpowiednio przerobionym i urządzonym — tłumy publiczności, która doskonale się bawi, śmieje i oklaskami i wieńcami darzy sowicie ulubionych już dzisiaj artystów.

Dyrektorzy teatru postarali się przedewszystkiem o doskonały zespół teatralny. I udało im się to w zupełności. Zaangażowali bowiem do swej trupy najlepsze siły teatrów prowincyonalnych, oraz dawnego teatru ludowego w Krakowie i utworzyli przez to zespół, który, wsparty jeszcze takiemi siłami, jakiemi są pp. Senowscy, byli artyści teatru miejskiego, jest jakby wymarzony, dobrany i zgrany ze sobą tak, że żaden teatr tego pokroju podobnym zespołem poszczycić się nie może i to nie tylko w Galicyi, ale i w Królestwie. W doborze tego zespołu czuć umiejętną i wytrawną w sprawach teatralnych rękę obydwóch dyrektorów. Oprócz artystów do ról charakterystycznych, teatr powszechny posiada doskonały zespół operetkowy, w którym siły śpiewackie solowe i choralne odpowiadają wysokim rzeczywiście wymaganiom.

Reżyseryę objął w teatrze powszechnym pan Czermański. Artysta to posiadający kolosalną rutynę, miłujący teatr i rozumiejący go, przytem nadzwyczaj sumienny i pracowity. Jego to pracy zawdzięczać należy, że przedstawienia wszystkie idą składnie, że sceny zbiororowe pełne są ruchu i życia, a każda sztuka wyreżyserowana jest znakomicie. P. Czermański był reżyserem na scenie teatru ludowego za dyrekcyi Gabryelskiego, przedtem jeszcze piastował tę godność w trupie p. Majdrowicza, a obecnie po raz trzeci już objął stanowisko reżysera. W historyi teatru ludowego pracą swoją, rutyną i doświadczeniem zasłużył sobie p. Czermański na piękną kartę.

Z sił aktorskich przedewszystkiem zasługuje na wyszczególnienie znakomity artysta do ról charakterystycznych, epizodycznych, p. Kalinowski. Niemniej doskonałymi w tych samych rolach są pp. Sarnowski, Ludkiewicz i Robiński.

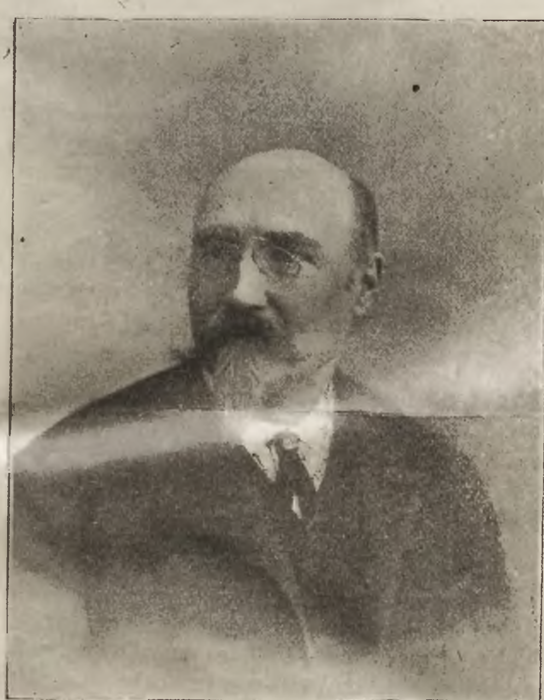


Teatr powszechny popularny w Krakowie: Trupa artystów z dyrektorami pp. Brzezińskim i Senowskim w środku. Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

Do ról komicznych posiada teatr powszechny trójcę artystów, dzisiaj już w Krakowie popularnych i zasłużonem cieszących się uznaniem. Przedewszystkiem p. Ryll. Artysta to młody, ale posiada doskonałą rutynę, artystyczny polot, ciętość i prawdziwą, wrodzoną żyłkę komiczną. Przy pracy może p. Ryll dojść do bardzo pięknych rezultatów. Nie rozpisujemy się o p. Kicińskim, który w Krakowie cieszy się taką popularnością jak żaden może inny artysta, wspomnieć atoli należy o p. Wąsowiczu, młodym artyście, który niejednokrotnie już dał dowody pięknego swego talentu.

Pp. Fligel i Fritsche. to artyści bardzo inteligentni i z rutyną. W rolach amantów wyborni. P. Fligiel „bierze“ publiczność przedewszystkiem szczerością i prostotą swej gry. P. Fritsche nie pozbył się jeszcze maniery naśladowania „wielkich“ artystów, zwłaszcza Kamińskiego. A przecie naśladownictwo jest zawsze złe, tembardziej jeśli się posiada talent taki, jaki ma p. Fritsche.

Personal kobiecy dobrany znowu znakomicie. Panie Szymańska, Senowska, Fliglowa, to prawdziwe siły artystyczne; wszystko ładne talenty, przytem kochające szczerze teatr. To bohaterki. Role charakterystyczne spoczywają w ręku pań Sieniawskiej i Chrapczyńskiej. P. Sieniawska ma bardzo dobre warunki sceniczne i przy pracy mogłaby dojść daleko. Nawskróś naiwna jest nadzwyczaj sympatyczna i uzdolniona artystka, mimo młodego wieku posiadająca już nie małą rutynę sceniczną, panna Galińska. Siły śpiewackie wyborowe. A więc znakomity tenor p. Zawadzki, doskonała śpiewaczka p. Olańska, pełna wdzięku i dystynkcyi, oraz p. Niwińska.



Poeta ministrem finansów: Jose Echegeray.

Jak widzimy, trupa to doskonale dobrana, a więc dająca rękojmię, że sztuki wszystkie grane są dobrze.

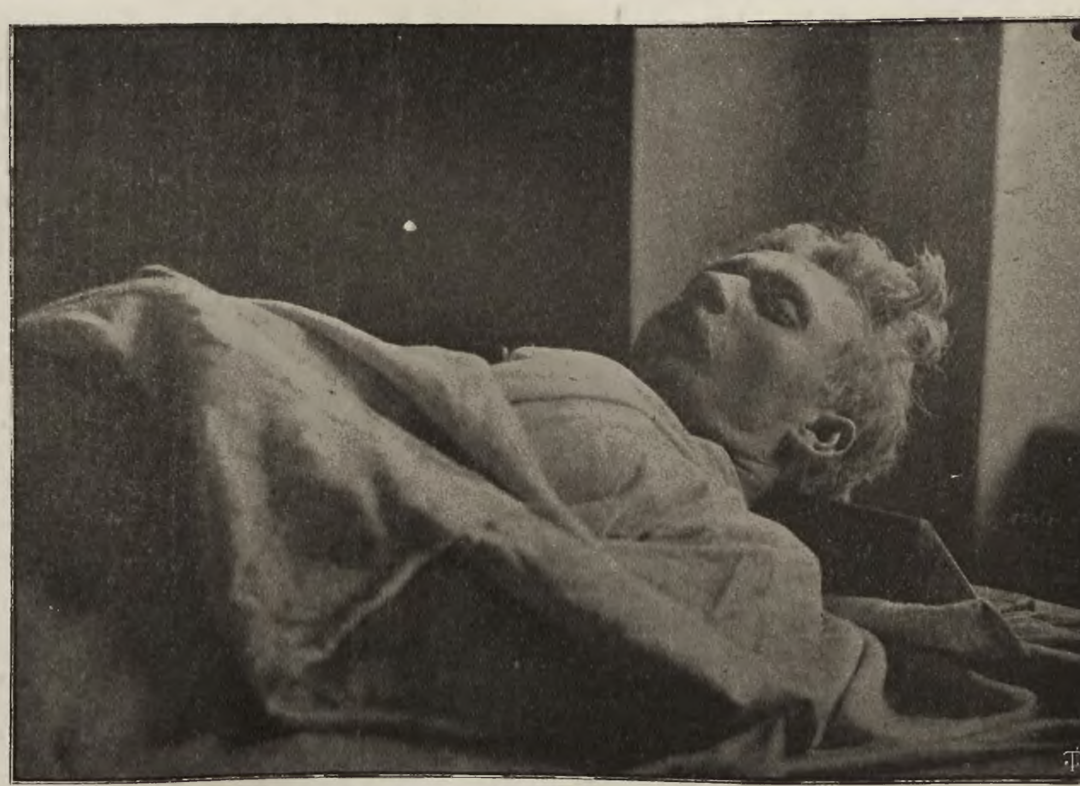
P. Brzeziński stara się wraz z p. Senowskim o teatr ludowy w Krakowie. Tow. Oświaty ludowej powinno z nimi wejść jak najprędzej w pertraktacye, bo należałoby już raz zrobić teatr ludowy tem, czem być powinien, a nie tem, czem się stał za dyrekcyi Gabryelskiego. Mamy też nadzieję, że w jesieni trupę teatru powszechnego zobaczymy już w teatrze ludowym.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok portrety obydwu dyrektorów, reżysera p. Czermańskiego, oraz całej trupy teatru powszechnego.

Poeta ministrem finansów.

Prawdziwie szczęśliwym należy mienić tego, na czyjem czole złożyły Muzy pocałunek w chwili, kiedy jako niemowlę spoczywał w kolebce. Dziecię to wybrały one z pomiędzy wielu innych, uczyniły go swym oblubieńcem, by zaprowadzić go w czarowną krainę poezyi i postawić na czele narodu. Człowiek prawdziwie poetycko uzdolniony, nie nadaje się zazwyczaj do zwykłej, praktycznej pracy; nie może dostosować się do otaczających go warunków, a wiecznie zatopiony w swych poetycznych myślach i pomysłach, przedstawia dla reszty społeczeństwa, które do jego geniusza nie dorosło, dziwnie anormalny okaz.

Nominacya na ministra skarbu znanego i nadzwyczaj uzdolnionego dramaturga, jednego z największych, jakich wydała Hiszpania i wogóle świat cały poetów, wywarła wszędzie ogromne wrażenie. Mówimy o poecie José Echegeray'u.



Samobójstwo jednorocznika: Jan Pryszowski na katafalku. F. M. Todt, Przemyśl.

Zadała ona potężny kłam twierdzeniu, że oblubieniec Muz stworzony jest i żyć tylko może i powinien dla swojej poezyi, że twórcza jego fantazya nie pozwala mu nagiąć się do krępujących warunków codziennego życia, lecz wykazała zarazem dobitnie, że nowomianowany minister zjednoczył w sobie dwie różne i rzec można, przeciwne zdolności, spotęgowane do tego w najwyższym stopniu: prawdziwie poetycką wyobraźnię i ścisłość genialnego matematyka.

Obok poetyckiej fantazyi, przy pomocy której stworzył niezrównane arcydzieła wszechświatowej sławy, posiada jeszcze Echegeray ścisłość i drobiazgowość matematyka, co mu pozwoliło zająć stanowisko ministra finansów.

Swej matematycznej ścisłości dowiódł w szeregu znakomitych wykładów w zakresie nauk matematyczno-fizycznych w madryckiej szkole inżynierskiej.

Ta właśnie możność i zdolność wzajemnego kojarzenia twórczości pierwszorzędnego dramaturga z potrzebną ścisłością prawdziwie uzdolnionego matematyka, wyniosła go już raz na stanowisko ministra handlu i dróg, a teraz zapewniła mu tekę ministra skarbu.

José Echegeray urodził się w Madrycie, tam też przeważnie się kształcił. Opuściwszy szkołę inżynierską, gdzie był nadzwyczaj ceniony jako profesor, zostaje członkiem Akademii Umiejętności. Burza rewolucyi w r. 1868, wciągnęła go w wir polityki i uczyniła zeń doskonałego mowcę. Po r. 1874. w którym to reku piastował krótko stanowisko ministra handlu i dróg, opuszcza Madryt bo poczuł w sobie zdolności poetyczne. Usunął się w zacisze domowe i oddawał się wyłącznie pracy literackiej.

Dramaty jego tchną dziwnie prawdziwem i głębokiem odczuciem tragizmu i zdumiewającą wprost pomysłowością. Do najlepszych, z których kilka przetłómaczono także na język polski, należą: „El gran Galeotto“ („Wielki rajfur“), „En el seno de la muorte“ („Na łonie śmierci“), „Vite allegre e muorte“ („Miłe złego początki“) i „O locura o sandidad“ („Obłęd czy zdrowie“).

Powszechne, uznanie, na jakie Echegeray zasługuje najzupełniej, wyrażono najlepiej w przyznaniu mu nagrody Nobla.

W niniejszym numerze zamieszczamy portret ministra-dramaturga.

Samobójstwo jednorocznika.

Coraz częściej słyszymy w czasach dzisiejszych o wypadkach samobójczej śmierci. I ciekawa rzecz. Faktem jest, że lwią część z liczby samobójców stanowią ludzie młodzi, ludzie, którzy dopiero stoją u progu życia, do których życie ma prawo. Młódź naszą ogarnęła jakaś apatya do życia, to też wy-



Najsłynniejszy głodomór: Ryszard Sacco w swojej celi.



Fot. T. Münz. Lwów.

Odznaczenie konduktora: Starszy konduktor August Wamsidl w otoczeniu kolegów i urzędników kolejowych, obecnych przy wręczeniu mu srebrnego krzyża zasługi.

padki samobójstwa dzisiaj są już na porządku dziennym. Nie wdajemy się w dochodzenie przyczyn tego przygnębiającego swą grozą objawu, musimy jednak podnieść, że główną przyczyną tej apatyi i zniechęcenia do życia, jakie się objawia wsród naszej młodzieży, jest upadek wiary, utrata religii.

W ubiegłym tygodniu zdarzył się znowu wypadek samobójstwa młodego, zdolnego, wykształconego człowieka. Mówimy tu o samobójstwie jednorocznika Pryszowskiego.

Śp. Jan Pryszowski służył przy ósmej kompanii artyleryi w Siedliskach pod Przemyślem. Był jedynakiem synem ubogiego krawca z Pragi, który, jakkolwiek sam niezamożny, łożył na utrzymanie syna, spodziewając się, że kiedyś znajdzie u niego przytułek na starość. Śp. Pryszowski przykładał się, stosownie do gorącego życzenia ojca, do nauk całą duszą, toteż wkrótce zdał doktorat filozofii.

Co przyczyniło się do tego, że człowiek, do którego uśmiechało się życie, skierował lufę morderczego karabinu w skroń swoją, niewiadomo, w każdym razie jednak musiała to być nielada przeszkoda, która zmusiła śp. Pryszowskiego do targnięcia się na swe życie.

Zmarły pozostawił w nieutulonym żalu starego ojca i matkę. Że rodzice Pryszowskiego nie spodziewali się wcale podobnego rozpaczliwego kroku ze strony ukochanego syna, najlepszym tego dowodem, że matka zmarłego, otrzymawszy telegram o śmierci jedynaka, poważnie zachorowała, wobec czego nie mogła nawet oddać mu ostatniej przysługi, nie mogła odprowadzić martwych jego zwłok do grobu.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia trupa śp. Pryszowskiego na katafalku.

Najsłynniejszy głodomór.

Niebywałą sensacyę wywołał w całym świecie przed tygodniem nowy apostoł wstrzemięźliwości, który prześcignął wszystkich dotychczasowych głodomorów.

Jest nim Riccardo Sacco.

Sacco konkurował już niejednokrotnie z najsłynniejszymi mistrzami w sztuce głodzenia, z Merlattim, Succim i znanym amerykaninem doktorem Tanny, atoli rezultaty, do których doszedł, pobiły jego współzawodników na głowę.

Niezmiernie głośnym był swego czasu znany głodomór Papuss, który produkował się w Lipsku. Siłą woli dokazał on tego, że ośm dni i nocy pozostawał w zamknięciu, nie przyjmując żadnych stałych ni płynnych pokarmów. Wystąpienie Sacca podało jednak jego występy w zupełne zapomnienie.



Odznaczenie konduktora: August Wamsidl, odznaczony srebrnym krzyżem zasługi.

Sacco wytrzyma bez pokarmów cały miesiąc.

Celem zbadania jego wytrzymałości zbudowano dla niego specyalnie flaszę ogromnej wielkości. Charakterystyczne to mieszkanie, długie na 3 metry, na 2 metry wysokie i szerokie, umieszczone na podium koncertowem w jednym z hotelów w Lipsku, zawiera wewnątrz kompletne urządzenie.

Komfortowy stół, otomanka, umywalnia, nawet waga decymalna—wszystko to pozostaje do usług szanownego głodomora.



Jubileuszowy zjazd abituryentów krakowskiej szkoły realnej: Grupa uczestników zjazdu. (Treść na str. 13).



Poświęcenie kościoła w Wołosowie: Procesya wewnątrz kościoła. Fot. Babczyszyn.

Na zewnątrz umieszczonych jest sześć okien, któremi można dokładnie obserwować jego ruchy.

Ryszard Sacco — to dwudziestojednoletni mężczyzna. Był on dawniej sekretarzem w teatrze w Eberfeld, porzucił jednak dawną posadę, by drogą efektowną dojść do majątku.

Przez cały miesiąc, t. j. jak długo pozostaje w tem dziwnem więzieniu, nie odczuwa zbytecznej potrzeby wolności. Codziennie dostaje 4 flaszki gorzkiej wody harzeńskiej, pali przecietnie pięć papierosów. Ciekawą jest rzeczą, że podczas pobytu we flaszce zajmuje się przeważnie czytaniem poezyi.

Charakterystyczne więzienie, powstrzymanie się od wszelkich pokarmów, nie wpływa, zdaje się, zbytnio korzystnie na zdrowie nowoczesnego głodomora, bo zauważono przy wyjściu poważną stratę jego wagi. Przytem nie zaszedł jednak najmniejszy nawet ubytek sił duchowych.

Eksperyment głodowy Sacca musi być nadzwyczaj rentownym, bo pomimo faktycznego ubytku ciała, dającego się stwierdzić po każdej produkcyi, powtarzał go najsłynniejszy apostoł wstrzemięźliwości szesnaście razy w ciągu dwu lat.

W numerze dzisiejszym podajemy fotografię Sacca w jego „pomieszkaniu" podczas głodzenia.

Odznaczenie konduktora.

Służba kolejowa, zwłaszcza przy ruchu—należy do jednej z najuciążliwszych, wymaga niezmiernie wiele natężenia i obciążona jest największą odpowiedzialnością. Czy to naczelnik stacyi, czy maszynista, konduktor lub hamowniczy — wszyscy zarówno odpowiedzialni są za możliwe wypadki i katastrofy, które — nawiasowo mówiąc — dość często na kolejach austryackich się trafiają.

35 lat służby przy ruchu—to niemały przeciąg czasu; jubileusz tem rzadszy, że zazwyczaj kolejarze nie cieszą się długiem życiem. Jubileusz taki obchodził we Lwowie p. August Wamsidl, starszy konduktor kolei państwowych. W pięknie udekorowanej sali szkoły kolejowej we Lwowie odbyło się wręczenie jubilatowi srebrnego krzyża zasługi, którym monarcha uczcił ciche zasługi pracownika.

Przy zapełnionej publicznością i kolegami p. Wamsidla sali—dyrektor kolei, radca dworu p. L. Wierzbicki przypiął jubilatowi zaszczytne to odznaczenie i przy stosownej przemowie podniósł pracę, skromność i zacność charakteru jubilata.

Rycina nasza przedstawia portret jubilata, oraz grono obecnych przy uroczystości wręczenia mu srebrnego krzyża zasługi z koroną.



Poświęcenie kościoła w Wołosowie: Komitet budowy kościoła. Fot. J. Babczyszyn.

Poświęcenie kościoła w Wołosowie.

Tuż koło Nadwórny, powstała przed kilku laty silna polska osada, w Wołosowie. Grunta są tam nieszczególne, d a roboczych jednak rąk mazurskich żytnia gleba w ps/enną, a owsiana w żytnią się przemienia. Otoczenie Wołosowa tworzy żywioł ruski tak samo jak tylu innych osad polskich w wschodnich powiatach galicyjskich.

Ażeby je ustrzedz przed wynarodowieniem zupełnem, potrzeba dwóch niezbędnych czynników: kościoła i szkoły. Do tych dwóch dołącza się jeszcze wiele danych, jako to: czytelnia, sklepiki, Kółka rolnicze, kasy zaliczkowe, straż ogniowa, „Sokoły" i cały szereg instytucyj, które powo'uje do życia czynna myśl narod wa, stojąca na straży polskości wszędzie tam, gdzie ona wymaga szczególnej podpory.

Osadą w Wołosowie zajęło się od początku gorliwie stanisławowskie Koło Pań T. S. L., które wybudowało tam własnymi funduszami szkołę, następnie zaś pomyślało o zgromadzeniu funduszów na wzniesienie tam kościółka. W tym celu zawiązał się osobny komitet z inż. Benedyktem Siebauerem na czele, który szczęśliwą miał rękę.

Ofiary na kościółek w Wołosowie płynęły chętnie. Jedni dawali gotówkę, drudzy materyał budowlany, inni wreszcie pracę. Panie stanisławowskie rozwinęły gorliwą agitacyę, panowie z wytrwałością i energią wzięli się do roboty, mając oparcie o komitet miejscowy, z członków gminy wołosowskiej złożony. Nad wszystkiem czuwał niestrudzenie zacny proboszcz nadwórniański, ksiądz Trzebunia. Budową domu bożego zajął się osobiście inż. Łapicki ze Stanisławowa, pod któ.ego okiem skromna świątynia szybko rośnie w górę i jak się można spodziewać, jeszcze w roku bieżącym do użytku publicznego zostanie oddana.



Fot. J. Babczyszyn.
Poświęcenie kościoła w Wołosowie: Widok budującego się kościoła.

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego w budującym się kościółku w Wołosowie zgromadziła liczną rzeszę ludu polskiego nietylko z Wołosowa, ale i z okolicznych gmin, z Nadwórny zaś i ze Stanisławowa przybyli członkowie komitetu, oraz delegaci polskich towarzystw, ażeby wziąć udział w tej podniosłej i pamiętnej dla ludności miejscowej chwili. Ze Lwowa przybył dyrektor Banku parcelacyjnego, p. Poznański, jako przedstawiciel instytucyi, która ułatwiła włościanom polskim nabycie gruntów w Wołosowie i znaczniejszą ofiarą przyczyniła się do budowy kościółka.

Mszę św. odprawił w izbie szkolnej, gdzie się mieści skromny ołtarzyk, ks. Trzebunia, poczem ruszyła procesya do budującego się kościółka. Po odprawieniu modłów, przewodniczący komitetu, p. Siebauer, odczytał akt założenia, podpisany przez członków komitetu, oraz delegatów polskich Towarzystw. Dokument ten złożono w puszce pod kamieniem węgielnym. Po dokonanem poświęceniu ścian domu bożego, odbyło się w ogródku szkolnym przyjęcie, przygotowane przez wołosowskich włościan. podczas którego serdecznie przemówił do nich sąsiad ich, dr. Jeż, obywatel z Weleśnicy na temat potrzeby wspólnej, wytrwałej i ofiarnej pracy dla dobra i przyszłości Ojczyzny.

Obrazki nasze przedstawiają: widok budującego się kościoła w Wołosowie, procesyę wewnątrz, kościoła i akt poświęcenia kamienia węgielnego w miejscu, gdzie ma stanąć główny ołtarz; na trzecim obrazku wreszcie przedstawiony jest komitet budowy kościółka z ks. Trzebunią i inż. Siebauerem pośrodku.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

2 Ciąg dalszy.

— Nie — odpowiedział Brepont. — Ja sam przypuszczałem, że to książę w tej szkatułce przysyła jakieś okrycie.

— Jaką liczbę miał posłaniec, który przyniósł tę szkatułkę?

— Numer 26 — odpowiedział baron.

Pisarz sądowy zapisał te odpowiedzi do protokołu.

— Chcielibyśmy teraz naocznie ujrzeć ten dziwny ślubny podarunek — rzekł szef i dodał — Gdzie znajduje się ta kasetka? Czy pan przypadkiem nie kazał ręki i szkatułki wynieść z tego pokoju, w którym ją otworzono?

— Nie, panie szefie — odpowiedział Brepont. — Tak ręka, jak i szkatułka, leżą zupełnie tak, jak w tej chwili, kiedy zrobiła córka to straszne odkrycie!

Szef popatrzył znacząco na lekarza i wszyscy udali się na górę. Nikt nie wyrzekł ni słowa, bo rzeczywiście trzeba tu było wykryć straszną i tajemniczą zbrodnię. Gdy stanęli na górnym korytarzu, odezwał się baron:

— Moja biedna córka leży nieprzytomna, co poświadczyć może u niej się znajdujący lekarz. Możecie sobie panowie wyobrazić, jak straszne wrażenie zrobiła na niej zawartość szkatułki.

Szef skinął milcząco głową, bo już z góry wiedział, że przesłuchanie baronówny będzie niemożliwe.

Służący otworzył drzwi przedpokoju, do którego dotykał buduar baronówny Leontyny. Drzwi do niego stały wpół otwarte. Na podłodze, pokrytej blado-niebieskim dywanem, leżało przewrócone krzesło, to samo, na które padł baron wtedy, gdy córka otworzyła szkatułkę.

Drugie drzwi prowadziły do sypialni Leontyny, złożonej ciężką chorobą. Te drzwi nie były zamknięte.

— Ciszej, panowie, jeśli mogę prosić! — mówił baron i wskazał na wchód do sypialni. — Właśnie jest u niej lekarz.

Buduar był jasno oświecony, tak, że każdy przedmiot odbijał ostro od błękitnego obicia. Delikatna woń perfum unosiła się w powietrzu, a setki kosztownych drobiazgów kazały się domyślać, jak bardzo kochał baron swą córkę. Tem okropniej uderzał oczy przedmiot, leżący na środku mahoniowego stoliczka, stojącego na środku buduaru. Na ziemi leżał nieszczęsny list. a obok niego koperta. Wieczko czarnej szkatułki było jeszcze wciąż otwarte; tylko owinięta jedwabiem ręka leżała w niej, zresztą zdawała się być całkiem pustą. Kawałek białego jedwabiu zwieszał się aż przez krawędź stołu. On to otaczał rękę z wierzchu. Nieszczesna ręka była prócz tego owinięta ciemnoczerwonym jedwabiem, prawdopodobnie dlatego, by nie można było odrazu poznać krwi. Ręka leżała wyprostowana na ciemno-czerwonym podkładzie. Nie była ona ani kurczowo ściśnięta, ani nie było na niej śladów podrapań, ani skaleczeń, tylko w przegubie widniało pewne cięcie, zadane ostrem narzędziem. Palce były nieskazitelnie białe i nie można było znaleźć na nich kropelki krwi. Wyglądała ona jak ulepiona z wosku, podobna do tych, jakie można często spotkać w oknach fryzyerów.

— Panie baronie — począł szef policyi po dość długiem milczeniu — czy nic się od tej chwili tutaj nie zmieniło, odkąd pan ten pokój opuściłeś? Proszę oglądnąć szkatułkę i rękę.

Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołał baron wypełnić ten rozkaz. Następnie potrząsł głową. Nikt nie odważył się wejść tutaj, odkąd dowiedziała się służba, co zawiera ta czarna szkatułka.

Na to oświadczenie zwrócił się szef do lekarza i rzekł:

— Zbadaj pan tę rękę, panie konsyliarzu; będzie to bardzo ważnym czynnikiem przy dalszem śledztwie, jeżeli będzie stwierdzonem, czy rękę odcięto za życia, czy już po zgonie.

Podczas, gdy lekarz milcząco zabrał się do badania, dawał szef półgłosem wskazówki jednemu z komisarzy.

Ten natychmiast opuścił pokój, by zgromadzić służbę. Baron de Brepont stał śmiertelnie blady w pobliżu stolika i patrzył, jak lekarz spokojnie podniósł i obracał martwą rękę, oglądając ją jak najobojętniejszy w świecie przedmiot. Wyjął przy tem kilka narzędzi z kieszeni i usiadł wygodnie na stołku, który przysunął sobie do stołu. Po pięciu minutach ukończył swe badanie, wstał, wzruszył ramionami i rzekł:

— W ręce tej niema ani kropli krwi i nie można dlatego twierdzić na pewno, czy odcięto ją żyjącemu, czy trupowi. Przypuszczać jednak mogę zupełnie pewnie, że ten, który tę rękę utracił, przeniósł się na łono Abrahama, bo gdyby było inaczej, to wówczas palce byłyby zgięte i złoczyńcy nie byliby w stanie nadać jej tak spokojnego położenia. Nadto kilka cech wskazuje na to, że ręka musiała leżeć w wodzie; szczególnie można to poznać pod paznokciami. Lecz ponieważ te oznaki są bardzo słabe, przeto nie można z nich wyciągać pewnych wniosków.

Szef kazał oświadczenie lekarza wpisać również do protokółu.

— Panie baronie — zwrócił się znowu do Brepont'a — czy zna pan ten pierścień?

— On należał do księcia de Bligny — odpowiedział baron.

— Czy jesteś pan tego pewny i czy pomyłka jest pod każdym względem wykluczona?

— Niestety; jestem tego zanadto dobrze pewny! Och, me biedne dziecię poznało go natychmiast. Podziwialiśmy go jeszcze wczoraj podczas kolacyi.

I to oświadczenie barona zaprotokołowano.

— Jeszcze kilka pytań, panie baronie — rzekł szef. — Proszę mi darować, gdybym był trochę niedyskretny, lecz tylko groza tej zbrodni zmusza mię do tego. Czy zna pan prywatne stosunki księcia?

— Tylko tak dalece, o ile poznałem księcia, jako człowieka nieposzlakowanej czystości charakteru! Książę, jak panu może pewnie wiadomo, stracił już dawno rodziców i po ich śmierci przeniósł się do Paryża. Odbył następnie dalekie podróże i dopiero niedawno powrócił tutaj. Nie mogę nic takiego podać, coby mogło, choć w najmniejszej mierze, przyczynić się do wykrycia tego tajemniczego morderstwa.

Szef patrzył chwilę przed siebie, namyślając się, potem rzekł:

— Czy pan posłał już do księcia dowiedzieć się, czy on istotnie zginął bez śladu?

Baron zakłopotał się nagle.

— Nie, panie dyrektorze — wykrztusił i nie mógł sam sobie zdać sprawy z tego, dlaczego tego nie uczynił. — Miałem właśnie zamiar wysłać do niego służącego, gdy nadeszła właśnie ta szkatułka! W ogólnem zamięszaniu zapomniałem o tem; lecz, że książę padł ofiarą strasznej zbrodni, najlepszym dowodem jest nieobecność jego w czasie wyznaczonym na ślub i ta ręka, która tylko do niego może należeć!

— Nie jest to jeszcze tak pewnem! — wtrącił szef. — Gdyby to była głowa, no, to co innego, lecz na świecie można znaleść tysiące rąk podobnych do siebie, a jeżeli jeszcze włożymy na nią pierścień, to złudzenie jeszcze większe!

— Lecz książę nigdy nie rozstawał się z tym pierścieniem — rzekł, potrząsając głową baron. Słowa szefa nie sprawiły na nim żadnego skutku. On był przekonany, że żywym nie ujrzy już księcia więcej!

Szef dawał tymczasem rozkazy drugiemu z komisarzy.

Urzędnik oddalił się również, jak jego kolega, a mianowicie udał się wprost do willi księcia de Bligny.

Tymczasem szef prowadził w pałacu barona dalsze śledztwo, lecz mimo wszelkich starań, nie mógł znaleść nic takiego, coby go mogło wprowadzić, chociażby na najdrobniejszy ślad tej zbrodni.

Tymczasem zjawił się lekarz domowy barona, od którego szef się dowiedział, że stan baronówny jest bardzo groźny i o przesłuchaniu nawet mowy być nie może.

Ponieważ już tutaj nie można było wpaść na żaden trop zbrodni, zapakował szef martwą rękę, zamknął szkatułkę i oddał ją na dole w ręce komisarza.

Służbę przesłuchano prędko, bo ci ludzie nic nie mogli wiedzieć, coby choć cośkolwiek rozjaśnić mogło mu tę sprawę. Wprawdzie młody książę bywał dłuższy czas w domu barona, lecz ze służbą stykał się bardzo mało. Wszyscy oni przyznali, że książę szalenie kochał swą narzeczoną i że nigdy nie było między nimi żadnego nieporozumienia.

— Musimy teraz bez zwłoki udać się do willi księcia de Bligny — zadecydował szef policyi.

Baron de Brepont prosił, aby pozwolono mu się przyłączyć, na co otrzymał przychylną odpowiedź. Kazał przeto zajechać powozowi i zajął w nim miejsce wraz z merem i szefem policyi, podczas gdy reszta wsiadła do następnego powozu.

W willi księcia panowało w tej chwili nie mniejsze zamięszanie, niż u barona Brepont. Powodem jego był przed chwilą przybyły komisarz. Aż do tej chwili oczekiwał stary sługa Francois na młodą parę, która w powrocie z kościoła miała wstąpić wraz z gośćmi weselnymi do willi i stąd dopiero udać się do pałacu Brepont'a na weselną ucztę.

Część nowo przyjętej służby już nadeszła i stary miał dużo roboty, aby nowicyuszów zapoznać z ich obowiązkami.

Nagle zadzwoniono przy bramie ogrodu.

Francois wybiegł sam, albowiem siwowłosy starzec chciał pierwszy powitać młodą parę. Lecz jakże się zdziwił, zobaczywszy na ulicy jeden jedyny powóz, z którego wysiadł urzędnik policyjny.

Teraz począł ogarniać Francois'a niepokój.

— Proszę otworzyć — powiedział urzędnik. — Przychodzę w sprawie urzędowej i muszę się natychmiast widzieć z księciem de Bligny.

— Przychodzisz pan nie w porę, panie komisarzu. Mój pan pojechał do ślubu i oczekuję jego przybycia lada chwila.

— Więc księcia niema w domu?

— Nie, jak panu już miałem zaszczyt powiedzieć!

— Mimo tego muszę wejść do pałacu!

Francois począł być coraz niespokojniejszy, bo dziwny ton urzędnika dał mu wiele do myślenia.

— Czy pan chce rzeczywiście czekać na księcia? — zapytał, podczas gdy komisarz podążał za nim w stronę pałacu.

— Nie tak na niego, jak na mera — brzmiała krótka odpowiedź.

Francois zwrócił przerażony wzrok na komisarza i zapytał:

— Czy się nie stało, panie komisarzu, jakieś nieszczęście, którego ofiarą padł mój pan? Niech mię pan nie trzyma dłużej w tej strasznej niepewności!

Komisarz zwrócił badawcze spojrzenie na starca i powiedział tak zimno, jak przedtem:

— Rzeczywiście są poszlaki, że książę padł ofiarą zbrodni. Uspokój się, staruszku; nie mogę ci nic pewnego powiedzieć i muszę koniecznie czekać przybycia mera, który tu wkrótce przybędzie! Tymczasem nie może nikt, absolutnie nikt, opuścić pałacu. Proszę się o to postarać, gdyż w przeciwnym razie będę musiał sam przedsięwziąć odpowiednie środki.

Pod starcem zadrżały ze zgrozy kolana.

Nie wiedział sam, w jaki sposób znalazł się wraz z komisarzem w pałacu.

Przyszedłszy nieco do siebie, kazał Francois zamknąć bramę wjazdową.

Po niespełna pół godziny zabrzmiał na nowo dzwonek i nadjechała komisya. Baron de Brepont znajdował się między jej członkami i objaśnił wiernego sługę księcia o strasznem zajściu. Nadspodziewanie Francois zapanował nad sobą bardziej, aniżeli się spodziewano. Wprawdzie ścisnął pięść, wyrzucił przez zęby jakieś niezrozumiałe zdanie i kilka ciężkich łez stoczyło się po bladych policzkach, lecz mimo to dawał jasne odpowiedzi na pytania mera.

Ten przeprowadził w pałacu możliwie dokładne dochodzenie. Lecz nowo przyjęta służba nic nie mogła więcej powiedzieć nad to, że pan wyjechał około godziny dziewiątej. Szef mógł teraz być przekonanym o tajemniczem zniknięciu księcia. Chodziło teraz o okoliczności, poprzedzające bezpośrednio jego odjazd. Tylko jeden Francois mógł to wyjaśnić.

— O której godzinie kazał pan zajechać powozowi po księcia? — zapytał mer.

— Punktualnie o pół do dziesiątej — brzmiała odpowiedź sługi.

— Mój pan ubierał się nadzwyczaj starannie i z tego powodu cośkolwiek się spóźnił. Chciał dlatego tem prędzej jechać, tak, by najpóźniej w dziesięciu minutach przybyć do domu narzeczonej.

— Co za stangret powoził?

Francois odpowiedział:

— Niestety, musiałem do tego użyć jednego z świeżo najętych ludzi, bo nasz długoletni stangret zachorował nagle w nocy i dlatego musiał książę powierzyć konie nowicyuszowi. Zresztą chłopak posiadał pochlebne świadectwa, nim go książę pan zgodził.

— Jak nazywał się ten człowiek?

— John Franklin, panie merze!

— Czy nie wie pan nic dokładniejszego o nowym stangrecie, a mianowicie, gdzie dotąd był w służbie i czy ma krewnych, albo znajomych?

— Nie, panie merze! Książę sam przeglądał papiery jego, jak i innych i zamknął je do biurka.

Mer skinął głową.

— A więc musimy przeszukać to biurko.

Nie zwracając uwagi na przerażenie starego, ciągnął dalej:

— Czy nie mógłby nam pan powiedzieć, czy dzisiaj, albo wczorajszej nocy nie zaszło co takiego, coby mogło wpłynąć na bieg śledztwa?

Francois pomyślał chwilę; nie wiedział, czy mówić, czy nie.

Mer zauważył z łatwością niepokój, malujący się na licu starego sługi.

— Robię pana uważnym, że nie powinieneś nawet najdrobniejszej okoliczności przemilczeć, któraby mogła nas naprowadzić na trop zbrodni. Czy przypadkiem nie zdradzał książę jakiego niepokoju, albo zdenerwowania?

Francois odpowiedział:

— Właśnie to, lub coś może podobnego. Książę pan przed ślubem z baronówną Brepont zdawał się być nieco rozdrażniony.

— Kiedy pan zauważył ten niepokój?

Sługa dodał. że to miało miejsce dopiero dzisiejszego poranku, kiedy pomagał panu przy toalecie.

— Proszę mi zatem powiedzieć, co działo się od wczoraj wieczór. aż do odjazdu księcia — rozkazał mer.

Francois ciągnął spokojnym głosem:

— Książę pan przybył po dwunastej z kolacyi do domu. Oczekiwałem go w pałacu i pomogłem mu wysiąść. Przywiózł go jeszcze nasz stary stangret, który właśnie w nocy zachorował.

— Przepraszam na chwileczkę – zawołał mer. – Gdzie leży chory?

— W oficynie, panie merze; właśnie przed chwilą był u niego doktor i zapisał mu jakieś lekarstwo. Jest to właściwie silne zaziębienie.

— Odwiedzimy go potem, by się przekonać, czy choroba jest rzeczywiście tego rodzaju, że nie pozwoliła mu odbyć dzisiejszej jazdy!

Francois chciał coś odpowiedzieć, lecz zamilkł po krótkim namyśle. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sądził mer, że między zniknięciem księcia a chorobą stangreta zachodzi pewien związek.

Co do Francois'a, to ten był przekonany, że nagła choroba stangreta, żadną miarą nie była symulacyą. Po kilku jeszcze pytaniach kazał się prokurator zaprowadzić do pracowni księcia.

Tuż za nim postępował szef policyi i protokolaryusz.

Prokurator rozglądał się bystro po wspaniale urządzonych salonach. Firanki były jeszcze spuszczone, a Francois objaśnił na zapytanie mera, że to zrobiono jeszcze wczoraj wieczór. Wśród nawału zajęcia nie miał on dzisiaj czasu wejść do pracowni księcia, co nie było zresztą potrzebne, bo książę z pewnością ani tu dzisiaj zajrzał.

— Proszę podnieść firanki — rozkazał w swój lakoniczny sposób prokurator.

Gdy Francois wypełnił ten rozkaz, zabrał się do przeglądania wspaniałego biurka księcia, lecz wszystkie szuflady znalazł zamknięte. Naraz zwrócił się i zapytał starego sługę:

— Nie wie pan, czy przypadkiem książę nie otrzymał wczoraj jakiego biletu, lub czegoś podobnego?

Francois zawahał się znów chwileczkę, aby następnie odpowiedzieć:

— Właśnie, gdy książę wybrał się do barona Brepont, nadszedł mały bilecik. Położyłem go na stoliczku nocnym mego pana, aby go mógł przeczytać jeszcze przed pójściem spać.

Przy wzmiance o bilecie twarz prokuratora zdradziła wielkie zainteresowanie. Kryminalista sądził, że odkrył nitkę, po której dojdzie do wykrycia zbrodni.

— Czy nie wie pan od kogo mógł ten bilet pochodzić?

— Nie, panie prokuratorze — brzmiała odpowiedź. — Przyniósł go posłaniec, który go otrzymał z poleceniem doręczenia tutaj.

— Od kogo?

— Nie mógł on tego powiedzieć, gdyż rzeczony list wrzucono do skrzynki listowej jego towarzystwa z dodatkiem: „Doręczyć natychmiast“.

Prokurator wpatrzył się przenikliwie w starego sługę.

Lecz Francois musiał powiedzieć prawdę. Nie mógł on nic wiedzieć o autorze listu.

— Proszę mi teraz opowiedzieć, co działo się po powrocie księcia do domu?

Ten spokojnie opowiadał, że książę powrócił w złotym humorze i niezwłocznie się udał do sypialni. Tam kazał mu się rozebrać i przy tej sposobności spostrzegł bilecik, o którym stary sługa prawie całkiem zapomniał.

— Jak zauważyłem — ciągnął dalej — książę osłupiał na moment, a następnie spytał, od kogo list przyszedł. Skorom mu tylko udzielił objaśnienia, odesłał mię natychmiast i otworzył list. Więcej nic nie wiem.

Prokurator począł się niecierpliwić.

— Nie widziałeś pan zatem, czy książę przeraził się przy czytaniu listu?

Francois wzruszył ramionami.

— Nie widziałem tego, ani dzisiaj, pomagając księciu przy ubieraniu, ani. gdym mu podał śniadanie! Mnie się zdaje, że książę musiał mieć powód do zniszczenia listu jeszcze w nocy!

Prokurator zagryzł niecierpliwie wargi, a następnie rzekł szorstko:

— A jednak ja muszę pokój ten dokładnie przeszukać.

Zaraz też udano się tam.

Wspomniany pokój był również urządzony z takim przepychem, jak i inne. Prócz tego podłoga była pokryta kosztownemi skórami i dywanami, a nad szerokiem łożem, trzymanem w stylu Ludwika XIV, wisiał baldachim, zrobiony z ciężkiej jedwabnej materyi.



...Baron de Brepont stał śmiertelnie blady w pobliżu stolika i patrzył, jak lekarz spokojnie podniósł i obracał martwą rękę.

Francois posłał właśnie co łóżko, a teraz musiał wskazać stolik, na którym leżał bilecik.

Prokurator wydał rozkaz do przeszukania całej sypialni. Podnoszono nawet dywany, lecz nie znaleziono ani koperty, ani listu. Wprawdzie w kominie leżała garstka popiołu, lecz z tego nie można było wnioskować, czy rzeczywiście książę spalił tajemniczy bilecik.

Obecnie nie miał prokurator najmniejszej nadziei znalezienia resztek listu.

Przeszedł napowrót do gabinetu księcia, a jeden z komisarzy pootwierał wytrychem szuflady biurka.

Francois przypatrywał się temu posępnie, bo uważał tego rodzaju postępowanie komisarza za bezczelność. Lecz ponieważ nie mógł wystąpić przeciw władzy, więc milczał. Prokurator przerzucał ze znajomością rzeczy papiery, a wreszcie znalazł wąską tekę, w której się znajdowały świadectwa i papiery nowo przyjętej służby. Po krótkiem szukaniu znalazł wreszcie i papiery młodego stangreta, Johna Franklina.

Stangret musiał być w istocie perłą i ozdobą swego fachu, tak pochlebne miał świadectwa, to też nic dziwnego, że na podstawie tychże przyjął go książę.

Nagle wyjął prokurator z kieszeni lupę i pochylił się nisko nad biurkiem.

— Te świadectwa są bez wyjątku sfałszowane — powiedział. — Mamy przynajmniej dowód, że ten chłopak zniknął ze zbrodniczymi zamiarami. Ale, o cóż to jeszcze chciałem spytać? Aha – gdzie się podział powóz z końmi?

— Dotąd nie widziałem jeszcze ani Johna, ani powozu z końmi, lecz przypuszczano, że wnet powrócą! Bardzo możliwe, że podczas jazdy spotkał księcia jakiś wypadek, a on nie był jeszcze w stanie o tem nam donieść.

Prokurator nie odpowiedział na to ani słowa. Był całkiem odmiennego zdania. Kiedy przeszukano jeszcze inne pokoje, opuściła komisya pałac księcia, zapieczętowawszy przedtem ważniejsze ubikacye.

Kiedy wreszcie prokurator otrzymał od sługi zapewnienie, że od czasu przybycia do Paryża nie utrzymywał książę żadnych stosunków z damami półświatka i w tym kierunku nie można było robić żadnych przypuszczeń. Musiał więc czekać dalszych wyników śledztwa.

Francois'a pozostawiono, jako zaufanego księcia, w willi, dla utrzymania porządku.

Gdy komisya opuściła pałac księcia, padł biedny starzec na krzesło i płakał, jak dziecko.

— Och, mój dobry, biedny paniczu! — szlochał. — O, co za skończony łotr ten John!

Baron de Brepont, głęboko wzruszony, udał się do pałacu sprawiedliwości, gdzie oświadczył, że za wyszukanie księcia, czy to żywego, czy też jego trupa, wyznacza 30.000 franków nagrody. Następnie powrócił, ten strasznie dotknięty człowiek, do łoża ciężko chorej córki.

III.

Dzwonek elektryczny w biurze szefa paryskiej policyi zadzwonił. Jedno z biur policyjnych zgłosiło się z depeszą do szefa, a ten po krótkiej rozmowie z jednym z podwładnych mu urzędników, udał się sam do aparatu. Biuro Nr. XIII telefonowało, że z kanału Sekwany wydobyto jakieś zwłoki.

Okoliczności, towarzyszące temu, były dość ciekawe. Trup bowiem był zeszpecony aż do niepoznania i brakowało — prawej ręki, którą odcięto ostrym narzędziem, albo bardzo możliwe, że zrobiły to koła parowca. Na ostatnie przypuszczenie naprowadzało straszne zeszpecenie twarzy i całej głowy.

Eleganckie ubranie frakowe, w którego wykładzie tkwiła jeszcze gardenia, kazało przypuszczać, że zmarły należał do sfery arystokratycznej. Pod gardenią błyszczało kilka miniaturowych orderów. W wewnętrznej kieszeni znaleziono portfel, który, chociaż mocno zniszczony przez wodę, wskazywał niezbicie na tożsamość trupa, bo zawarte w nim papiery opiewały na nazwisko księcia de Bligny.

Skoro tylko szef policyi wydał w podobnych wypadkach konieczne rozkazy, zawiadomił natychmiast o tem prokuratora.

Od czasu zniknięcia księcia, upłynął cały dzień i znowu biła godzina godzina dziesiąta. W ciągu poprzedniego dnia przytrzymała policya bezpański powóz na jednem z oddalonych przedmieść. Okazało się, że był on własnością księcia de Bligny. Konie były strasznie zgrzane, lecz woźnica zginął bez śladu. W środku powozu nie znaleziono ani śladów krwi, ani innych podejrzanych oznak, słowem nic takiego, coby mogło rzucić jakieś światło na tajemniczą sprawę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jubileusz ludowego muzyka: Adam Wroński.

Jubileusz dziesięcioletniej pracy wiceprezydenta sądu kraj. we Lwowie.

Przed paru dniami odbyła się we Lwowie uroczystość dziesięcioletniej, nadzwyczaj uciążliwej pracy wiceprezydenta sądu krajowego, dr. Jana Dylewskiego.

Wiceprezydent dr. Dylewski zasłużył sobie w zupełności przez swą gorliwość i staranność na podobne przyjęcie, jakie mu właśnie zgotowali jego koledzy i podwładni.

Postępowaniem swem niezmiernie oględnem i delikatnem jednał sobie przez cały ciąg swej pracy życzliwość współkolegów i miłość podwładnych, nic też dziwnego, że ci wszyscy postarali się o to z całego serca, aby za włożoną pracę odwdzięczyć mu się choć w części—choć w części wynagrodzić trudy czcigodnego jubilata.

Wiceprezydent dr. Jan Dylewski wytrwał przez lat dziesięć na ciężkim i tak ważnym posterunku, na jaki go wyniosły jego zdolności i uciążliwa praca—życzeniem wszystkich jest, aby czcigodny jubilat pozostał na nim jak najdłużej, kierując wszystkiem swą energiczną i sprężystą dłonią.

Przebieg uroczystości, która w myśl życzenia czcigodnego jubilata nie przekroczyła skromnych granic, był nadzwyczaj serdeczny i sympatyczny.

W szeregu wspaniałych przemów gratulowali mówcy czcigodnemu jubilatowi, wyrażając swą wdzięczność za tyloletnią pracę.

W imieniu zgromadzonych osób przemówił najpierw radca wyższ. sądu krajowego p. Grzegórz Kuźma, podnosząc serdeczny stosunek, jaki łączył zawsze jubilata z kolegami i podwładnymi.

Po przemowie radcy Kuźmy zabrał głos JE. dr. Tchórznicki i w gorących słowach podziękował jubilatowi za pomoc, jaką mu ten świadczył w urzędowaniu.

Po szeregu toastów, wzniesionych na cześć czcigodnego jubilata, przemówił dr. Dylewski i w krótkich a serdecznych słowach podziękował wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do uświetnienia uroczystości.

W numerze niniejszym podajemy portret pana dra Dylewskiego.



Jubileusz dziesięcioletniej pracy wiceprezydenta sądu krajowego we Lwowie: Dr. Jan Dylewski.

Jubileusz ludowego muzyka.

Każde społeczeństwo, każdy naród ma swojego ulubionego muzyka, którego pieśni i kompozycye lotem błyskawicy przebiegają kraj cały, znajdują zarówno łatwy przystęp do pałacu jak chaty, entuzyazmują wszystkich i przechodzą na własność narodu. Nie zawsze jednak są kompozytorzy ich znani po nazwisku. Nieraz żołnierz — z czasów walk o wolność Ojczyzny, przy blasku biwaków i echu strzałów — wyśpiewał niejedną piękną pieśń wolności i miłości — niejeden wieśniak, nieuświadomiony wieszcz ludowy, stworzył niekiedy arcydzieło, wyśpiewał dolę i niedolę ludu naszego.

„Muza pieśń jego w skarbnicy umieszcza,
Ceni jej wartość, ale nie zna wieszcza..."

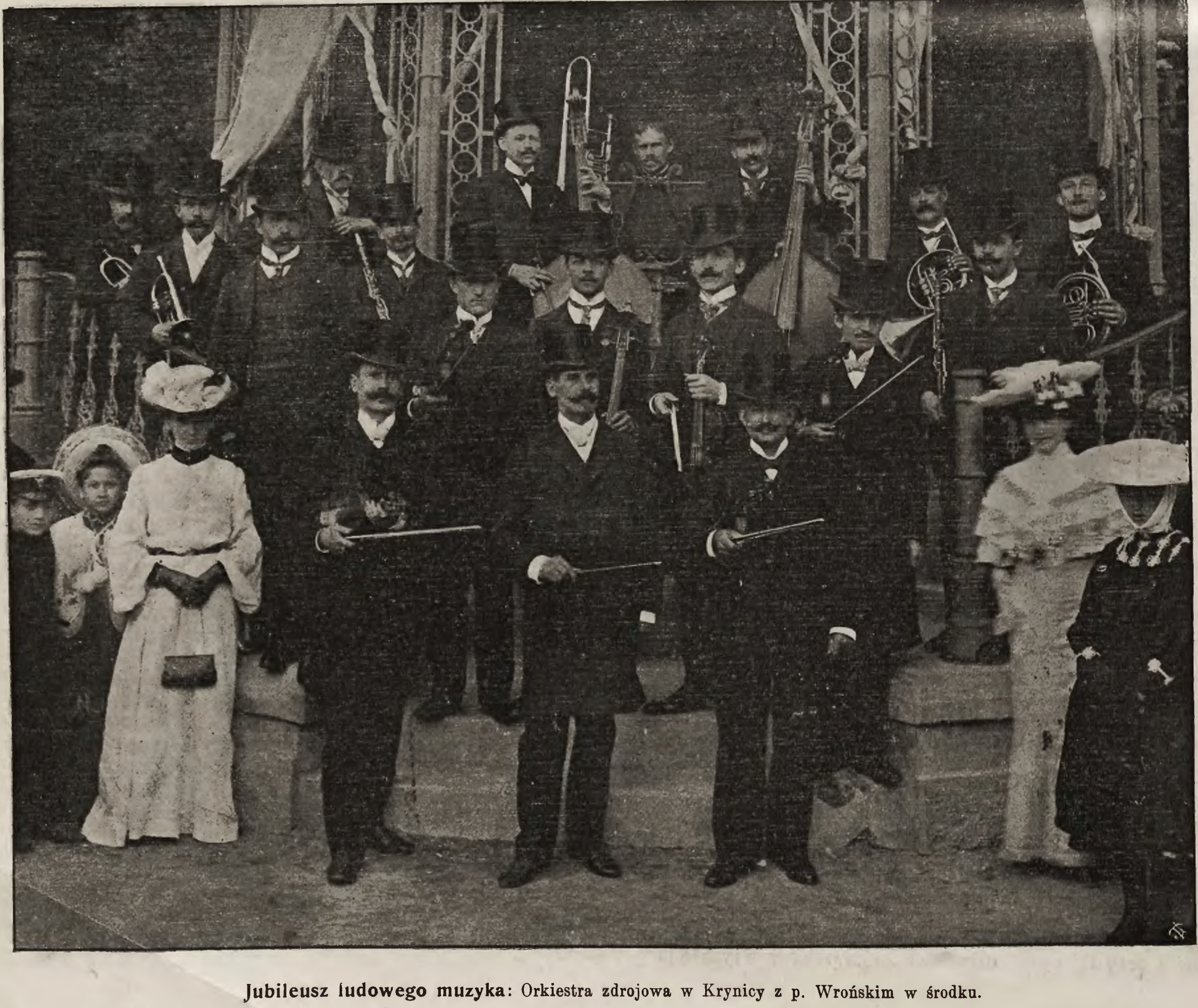
Nie wszyscy jednak są znani i zapomniani. Dość wspomnieć z dawniejszych czasów takiego Kurpińskiego, Komorowskiego, kompozytora muzyki do „Haliny" Lenartowicza, w nowszych czasach: Hoffmana, autora muzyki do „Kościuszki pod Racławicami", Powiadowskiego, kompozytora muzyki do „Królowej przedmieścia", Lewandowskiego, Namysłowskiego lub wreszcie genialnego w swym zakresie Adama Wrońskiego, autora tak popularnych w całej Polsce mazurów, walców i innych tanecznych utworów.

Życie tego człowieka obfituje w ciekawe przejścia i epizody, charakteryzujące dosadne usposobienie artystycznej tej duszy.

Adam Wroński, dyrektor muzyki zdrojowej w Krynicy, urodzony w r. 1850 w Krakowie, pobierał początkowe studya muzyczne w bursie muzycznej w Krakowie, pozostającej wówczas pod artystycznem kierownictwem Piotra Studzińskiego, gdzie prócz dyrektora byli artyści tej miary, jak prof. Wójcikiewicz i Blaschke. Młodego muzyka zastaje przy studyach powstanie narodowe w r. 1863. Jako 13-letni chłopak spieszy Wroński w szeregi obrońców Ojczyzny, gdzie pod komendą Kurowskiego w Ojcowie wyróżnił się jako znakomity strzelec. Po upadku powstania wstępuje Wroński do muzyki wojskowej 73 p. p. piechoty, imienia ks. Würtemberskiego. W r. 1866 odbył kampanię przeciw Prusom, następnie na koszt pułku kształcił się w konserwatoryum muzycznem we Wiedniu. Po odbyciu służby wojskowej, objął kierownictwo muzyki cywilnej krakowskiej i teatralnej, a po rozwiązaniu takowej mianowany został dyrektorem Tow. muzycznego w Kołomyi. Po 11 latach artystycznej swej pracy zostaje dyrektorem orkiestry teatralnej w Samborze i Stryju. Od roku 1876 jest stale dyrektorem muzyki zdrojowej w Krynicy.

Jego działalność, jako artysty muzyka, jest równie ożywioną jak i życie tego człowieka. Jako kompozytor napisał muzykę do melodramatów: Czartowska ława, Błędne ogniki, Król dziadów, Wygnańcy, Maciek-Samson, Pan Tadeusz i Chata na pograniczu. Prócz tego skomponował mnóstwo chórów i koncertowych utworów na skrzypce, wydanych przez firmy księgarskie Gebethnera i Piwarskiego. Tanecznych utworów wyszło z pod jego pióra przeszło 200.

W tych dniach obchodzi Adam Wroński 30-letni jubileusz kompozytorskiej pracy. Zarząd kąpielowy w Kry-



Jubileusz ludowego muzyka: Orkiestra zdrojowa w Krynicy z p. Wrońskim w środku.

nicy ma bezsprzecznie zasługę, że potrafił pozyskać i długo zatrzymać u siebie kompozytora i muzyka tej miary, co Adam Wroński.

Ryciny nasze przedstawiają portret jubilata oraz całą orkiestrę zdrojową z jubilatem, panem Wrońskim, w środku.

Jubileuszowy zjazd abituryentów krakowskiej szkoły realnej.

Uboga młodzież gimnazyalna ma z tysiącami trudności do walczenia w czasie długich a uciążliwych studyów. Prócz trudności, które nastręcza sama nauka — bo nie wszyscy przecież są równie uzdolnieni — jest brak materyalny lub ściśle mówiąc nędza lub głód, brak dachu i przyodziewy, a co najgorsza: brak pieniędzy na zakupno książek i przyborów szkolnych. Istnieją wprawdzie studenckie bursy, gdzie młodzi pensyonarze bezpłatnie lub za bardzo małą opłatą otrzymują mieszkanie, życie i opiekę domową, istnieją prywatne zapisy i rządowe stypendya, z których korzystać mogą ubodzy a pilni studenci. Są to jednak środki zbyt nikłe w porównaniu z ogromem nędzy, zagnieżdżonej pomiędzy szkolną młodzieżą.

To też piękną i wprost wzniosłą myśl podjął zjazd koleżański abituryentów z r. 1880 realnej szkoły krakowskiej, zjazd, który odbył się w Krakowie dnia 2 lipca br.

Na wniosek jednego z uczestników p. Ludwika Steckiego uchwalono utworzyć fundusz zapomogowy, z którego odsetki będą nadawane przez abituryentów tejże szkoły ubogim a zdolnym kolegom, a to w kwocie 200 koron, jako jednorazowy zasiłek na przetrwanie pierwszych miesięcy nędzy, wśród walki o wywalczenie sobie źródła bytu na politechnikach lub innych wyższych szkołach fachowych.

Pod przewodnictwem posła i dyrektora p. Petelenza zebrał zawiązany komitet w dniu zjazdu kilkaset koron i rozesłał odezwę do wszystkich b. krakowskich realistów, by poparli, w miarę możności, cel tak piękny i szlachetny.

Pierwsza to dopiero fundacya, w której uczniowie, względnie abituryenci, mieć będą prawo rozporządzania odsetkami i wątpić nie można, że zapomogi otrzymają bez uciekania się do protekcyi istnotne i zdolne jednostki.

Rycina nasza, dołączona do niniejszego artykułu przedstawia grupę uczestników zjazdu b. abituryentów wyższej szkoły realnej w Krakowie z r. 1880 w 25 lat po maturze.

Szlachetnej inicyatywie z całego serca przyklasnąć należy.

Z Delatyna do Worochty.

IV.

Drugą perłą, po Jamnie, nadzwyczajnej ceny, jest Tatarów„ czyli jak tego chce napis na stacyi c. k. kolei państwowej, oraz stempel c. k. poczty austryackiej „Tartarów“.

Od lat dziesięciu walczę słowem i piórem za ugruntowaniem właściwej nazwy dla tej prześlicznej miejscowości, przekręconej przez Niemców.



Z Delatyna do Worochty: Cerkiew w Worochcie.

Skądże wzięła się ta nazwa? Tatarów, jak to już sama nazwa wskazuje, jest pierwotną osadą tatarską. Podług legendy miejscowej zapędzić się miał tutaj, pomiędzy niedostępne góry i dziewicze bory, jakiś czambulik tatarski, którego dowódca, oczarowany pięknością okolicy, już się stąd więcej nie ruszył. Baśń stara dodaje, że ów tatar na kulbace unosił z dolin łup drogocenny, laszkę przedziwnej urody. Jeżeli tak było, jak to piękna ta baśń opowiada, nie dziwno, że dziki łupieżca tutaj sobie przybytek uczynił, i że dla klejnotu swojego taką wybrał oprawę. A może była to wola pięknej tatarskiej niewolnicy?

Otóż powracając do Tatarowa i do kochanych Niemców, to pierwsi „cywilizatorzy“ Galicyi, sporządzając mapy katastralne, wciągnęli nazwę tej miejscowości do „amtsbuchów“, przetłómaczywszy ją całkiem „vorschriftmässig“ na niemieckie, a że tatar nazywa się po niemiecku „der Tartar“, zrobili zatem z Tatarowa „Tartarów“. Za ery polskiej, Polacy sięgnęli do „źródeł“ niemieckich i przepisali z map niemieckich, napisy polskie po niemiecku. W ten sposób Tatarów, w całkiem niewinny sposób stał Tartarowem i daje rozmaitym znakomitym filologom temat do dysput i uczonych rozpraw, dowieść chcących jak na dłoni, że uzdrowisko karpackie pochodzi w prostej linii od mitologicznego „tartarosu“.

Niechaj poczciwi filolodzy się bawią, my zaś wziąwszy sobie za towarzysza pierwszego lepszego huculą z „Tatariwa“ — jak to sam lud go nazywa — puśćmy się w przepaściste jary i tajemnicze bory. Kraj to jeszcze dziewiczy. Spotkasz się tu z niedźwiedziem, żbikiem i czarnym odyńcem, a jelenie tutaj mają swoje stałe schronisko.

To też, od drugiej połowy września do połowy października lasy tatarowskie i jabłonieckie rozbrzmiewają trąbką myśliwską i graniem ogarów. W Tatarowie, kilka kilometrów od stacyi, wznosi się pałacyk myśliwski, księcia Lichtensteina, dzierżawcy tych lasów, w którym rezyduje niemiecki strzelec, a w polowaniach na grubego zwierza biorą udział wyłącznie zagraniczni panowie. Powinniśmy i z tego być zadowoleni, Europa bowiem ma sposobność dowiedzenia się z tych źródeł czegoś o naszym „Bärenlandzie“.

Dla oka przeciętnego turysty, szukającego w Tatarowie nie dzikich bestyj, ale raczej wytchnienia i pokrzepienia się na siłach, tajemnice gór i borów tutejszych są zakryte. Nie przestraszajmyż go także tem bliskiem sąsiedztwem mateczników i dzikich ostępów, a wejdźmy z nim w przejrzysty las.

Jesteśmy na znacznej wysokości. Tatarów wznosi się 671 m. ponad morzem. Powietrze czyste jak łza. Ogarnia cię całkiem inna jakaś atmosfera. Życie jakieś otacza cię bujne. Jesteś jakby tem przeczystem powietrzem upity. Słońce tu jakieś jaśniejsze, widzisz daleko, czujesz się swobodnym niby ptak i chciałbyś się puścić z sokołami ponad Chomiakiem i Gorganami szybującymi, w zawody.

Rondo gór. Szczytami mchy, poniżej kobierce traw, dzwonków z misternie rzeźbionych sterczyków. Muszki falą złocistą w tęczy słonecznej bzykają, zresztą cisza jak na stepie akermańskim.

Olbrzymie przestrzenie. Oko roztacza promienie swojego wzroku szeroko i daleko, aż się opiera na siwiejącym w oddali, na ziemi węgierskiej, pasie gór czarnohorskich, Petrusie i Howerli.

Z Tatarowa prowadzi droga, bitym gościńcem, ponad prześlicznym Prutcem do Jabłonicy, aż na Węgry, druga zaś leśna, do Werochty. Pominąć musimy pierwszą, choć z żalem serdecznym, bo jest to jedna z najpiękniejszych okolic tego przepysznego kraju, a podążymy do Worochty, która pozyskała sobie od lat kilku sławę wybornego uzdrowiska. Rezgłos swój zawdzięcza Worochta kolonii wakacyjnej, urządzonej tutaj od samego początku, przez stanisławowską dyrekcyę kolejową dla ubogiej dziatwy swoich funkcyonaryuszów. Koło kolonii ugrupowały się wille ludzi zamożnych, stanęły piękne domki i pałacyki. Towarzystwo tatrzańskie, tj. jego oddział czarnohorski postawiło tutaj swój dworek, a księża polscy ufundowali sobie tutaj miłe schronisko, obok którego wzniósł mury poważne piękny kościółek.

Z prawej strony ciągnie się od Worochty ku Tatarowi, popod Rebrowacz, romantyczna droga, jakby z koronek dziergana, z drugiej, koło cerkwi malowniczo położonej ku tartakowi, gdzie piła, dniem i nocą czynna, obok topora grasujących po tym romantycznym kraju rozmaitych spekulantów, dokonywa smutnego zadania jego „cywilizacyi“.

S. B.



Z Delaty do Worochty: Droga z Tatarowa do Worochty.

KRONIKA LWOWSKA.

(Niema sezonu ogórkowego. — Jeszcze o strejku. — Zdenerwowane miasto. – Głuchy pomruk. — Także strejkowcy. – Kto z tego korzysta? – Panika w rynku. – Lwowskie przekupki – Kąpiel w jajecznicy. – Co uratowało przekupki? – Czyn konnej policyi. – Porąbanie. – Delikatniejsze urzędowanie. – Metoda pana Stetkiewicza. – Czy jeszcze mało? – Czego p. Stetkiewicz nie lubi? – Zapisz pan sobie moje nazwisko. – Upomnienie przełożonego. – Lwowskie hotele. – Nasza kultura a Hotentoci i Kafrowie. – Jeden pokój o dwudziestu lokatorach. – Temat familijny. – Lwowskie piekarnie. – Wypadki i wpadki. – Koleje bułki. – Poprawa apetytu. – Pogodne sceny. – Stara decyduje. – Którędy droga? – Mama już kocha. – Zwycięstwo. – Wyjazd bez mamy. – Jazda za młodymi. – Listy z drogi. – Podróż w kółko. – Szukanie dzieci. – Powrót. – Do Krynicy).

Niema w tym roku we Lwowie sezonu ogórkowego. Czasy niespokojne, oczekiwanie nadzwyczajnych wypadków, zgromadzenia, demonstracyjne pochody, interwencya policyi, popłoch kupców i przekupek, sprzeczne sprawozdania dzienników — to wszystko nie przestaje grać na potarganych nerwach mieszkańców stolicy. Dzięki nieudolności naszych władz i uporowi pp. przedsiębiorców, strejk budowlany trwający od kilku tygodni, zaostrza się z dniem każdym i denerwuje całe miasto. Wystarczy przypomnieć onegdajszą panikę na rynku lwowskim między przekupkami i popłoch wśród kupców, którzy na lada okrzyk zamykają sklepy. Lada słówko, niebacznie rzucone, zdoła dziś zelektryzować całe miasto a gorączka mieszkańców ma wybitne znamiona manii prześladowczej. Sekunduje tej gorączce głuchy pomruk głodnych strejkowców, którym nareszcie przebiera miarka. Stoimy na wulkanie...

Kiedy się to skończy — nie wiemy, to jednak wiemy, że gdyby się nie skończyło rychło, mogą się powtórzyć wypadki z roku 1902.

Ze strejku obecnego korzystają rozmaite indywidua, które nie mając z robotnikami budowlanymi nic wspólnego, podszywają się pod ich firmę i na swój sposób „strejkują". Włóczą się po mieście, odgrażają się, zbierają składki, kradną, śpiewają i swoją drogą nawet nie wiedzą, kto strejkuje, kto czego żąda, do czego zdąża. Są to katylinarne egzystencye, które tu przywędrowały z prowincyi, i z przedmieść tutejszych na wiadomość o strejku, ażeby przy tej okazyi i dla siebie coś oberwać. O jakiejś bodaj na pół dokładnej ewidencyi, kto do strejkujących należy, a kto nie, mówić nawet nie można, bo liczba strejkujących idzie w tysiące. Ci to nieproszeni pomocnicy strejkujących wywołują panikę i swoją drogą niesłusznie każde poruszenie w mieście przypisują strejkowi obecnemu. Co prawda, policya spotyka tam swoich dobrych znajomych, wyłącza ich od czasu do czasu i całemi gromadami odstawia do miejsca przynależności. Oni jednak wracają i dalej „strejkują", bo taki czas, to dla nich żniwem najlepszem.

Podczas paniki między przekupkami przed ratuszem nie zauważono ani jednego ze strejkujących robotników budowlanych a natomiast z dwóch stron wsypali się na rynek rozmaitego gatunku „baciarze" (to ich zbiorowa nazwa) z okrzykiem: „brać!" Przekupka lwowska, to osoba zanadto nerwowa, ażeby na takie dictum i na widok kilkudziesięciu drabów stać spokojnie z założonemi rękoma. Nuże tedy całą śmietanę, jarzynę, kwiaty, jaja i co tam jeszcze naznosiły na sprzedaż — brać na plecy i jazda do ratusza. I omal nie zostaliśmy bez ratusza, bo trzeba wiedzieć, że ratusz lwowski jako budowla stara i mocno się kiwająca wytrzymuje zaledwie swoich urzędników i rajców ostrożnie stąpających, ale tyle przekupek i to o takiej peryferyi, obładowanych nadto takimi koszami pomieścić ni wytrzymać nie może. To też w bramie i w kurytarzu działy się piekielne sceny. Panie „kupcowe" cisnęły się i lżyły, obrzucały się jajami, leżały sobie we włosach i wszystko kąpało się w mleku, śmietanie, jajecznicy i tym podobnych darach bożych aż po sam pas.

Serca przekupek przestały dopiero bić gwałtownie na widok konnych policyantów, po których przyjeździe wylazły z tego bagna jaj, śmietany i ratuszowych woni. Wylazły zdrowe i świeże, nawet nieco zarumienione a tylko towar ich został w ratuszu. Sam ratusz nie rozsypał się i wymownie zadał kłam niecnym potwarzom, jakoby go mogły trzy tęgie przekupki przewrócić.

Tak więc policya konna uratowała nam kilkaset przekupek, czem wystawiła sobie pomnik trwalszy od spiżu. O policyi słyszy się u nas coraz więcej mianowicie o jej zdziczeniu. Ostatnio podniosły dzienniki waleczność pewnego żołnierza policyjnego, który bez przyczyny porąbał spokojnego przechodnia. Takie urozmaicenia powtarzają policyanci bardzo często a mimo to władze dotąd nie postarały się zapobiedz tym przypomnieniom waleczności.

Na co to rąbać szablą, kiedy można o wiele delikatniej a równie skutecznie urzędować, jak to robią niektórzy funkcyonaryusze policyi nprz. p. Stetkiewicz nie rąbie z zasady szablą, bo nawet szabli nie nosi. On jako szpic — pardon — jako rewizor, ajent policyjny, chodzi sobie bez szabli, całkiem jako „cywil", jako przystojny stateczny pan. Jest z natury delikatny, choć korpulentny, serce ma dobre, miękkie, jak masło. Teraz już łatwo zrozumieć, że człek o tak miękkiem sercu nie mógłby nawet rąbać szablą. Natomiast p. Stetkiewicz ma lepszą, delikatniejszą metodę: on „wali w mordę". Pięścią, kułakiem, albo w razie łagodzących okoliczności płaską dłonią bije ludzi w twarz i osiąga ten sam sukces, co inni rąbiąc szablą. Uśmiecha się przytem dobrotliwie i pyta zawsze, czy jeszcze mało. Nie lubi tylko i to dość słusznie, gdy mu się kto trzeci wmiesza, mianowicie taki, który nie umie się poznać na delikatności pana Stetkiewicza i nieproszony bierze w obronę bitego. W takich razach p. Stetkiewicz mierzy okiem z góry na dół interwenienta, dodaje potem swojej ofierze jeszcze kilka policzków i powiada wielkodusznie:

— Widzisz pan, to on panu zawdzięcza, że dostał jeszcze dodatek a panu skoro się to nie podoba, to zapisz pan sobie moje nazwisko, nazywam się pan Stetkiewicz, c. k. rewizor policyi.

Zdarza się, że taki interwenient zapisze sobie to chlubnie znane nazwisko, ogłosi wszystko w dziennikach a p. Stetkiewicz staje przed obliczem przełożonego i musi wysłuchać takiego upomnienia:

— Jaki pan jesteś nieostrożny, wiesz pan przecie, że oni zaraz wszystko drukują, dzielny z pana ajent a nie możesz tak walić, żeby nikt nie widział, patrz pan jak inni robią... tu wszyscy walą i rąbią, ale się nie zna nazwisk, o! Zrozumiałeś pan!?

Zrozumiał doskonale. Odtąd wali anonimowo i cieszy się sympatyą przełożonych.

Sympatyą jego i jego przełożonych cieszą się także lwowskie hotele drugo-trzecio i ostatniorzędne, o których się wiele mówi, ale też nic więcej się nie robi, aby je nareszcie otoczyć zasłużoną opieką. „Hotele" te zdobią wiele ulic i placów we Lwowie a mamy ich tyle, że rzadko które miasto mogłoby się taką liczbą poszczycić. To jest tylka dowodem kultury. Hotentoci i Kafrowie z pewnością nie wiedzą, co to hotel. Dzikie ludy wogóle hotelów nie mają. Lwów ma. Jedno tylko jest niezrozumiałem. To mianowicie, dlaczego te instytucye nazywają się hotelami. Jest ich we Lwowie kilkaset... Tak twierdzą ludzie. Są między nimi i takie, w których dotąd żaden obcy nie zamieszkał a one istnieją, opłacają służbę i podatki. Właśnie... Bo one istnieją dla tutejszych, dla swoich. Jeden pokój ma dziennie dwudziestu lokatorów...

Szkoda, że ten temat nie nadaje się do rozstrząsania we „familienblacie" i z żalem muszę go wypuścić z rąk.

Ale za to nasuwa mi się inny, więcej „familijny". Chcę mówić o lwowskich piekarniach, które zresztą znane już są w całym kraju z długiego szeregu notatek kronikarskich wychwalających ich czystość. Biorąc do ręki bułeczkę urodzoną w piekarni lwowskiej ani się człowiek domyśla, jak bogaty jest w wypadki i wpadki jej krótki żywot. Otóż naprzód mąka. Mąka ze składu dostaje się do piekarni i tu wysypana oczekuje kilka godzin na swoją kolej. W tym czasie oczekiwania zachodzą tam myszki i szczurki, czasem dziobnie kura, czasem wlezie jakieś psisko z wizytą a bardzo często — jak to w ostatnich dniach miało miejsce — małe bachory, dzieci piekarza, rozbierają się do naga i urządzają sobie kąpiel w mące. Przychodzi wreszcie czas, kiedy z mąki powstało ciasto. Suchotniczy piekarz, wałkując ciasto, kicha, kaszle i pluje a ręką zastępuje chustkę do nosa. Zanim bułka dostanie się do pieca zawiera już wiele zdrowych składników, które dla bakteryologa mogłyby stanowić prawdziwą kopalnię. Z pieca dostaje się bułka na ziemię brudną i od wieków nieczyszczoną, stąd do brudnego kosza, stąd na brudny wóz, stąd do czystego, schludnego sklepu, gdzie apetycznie wygląda.

Czy przyszło komuś na myśl zbadać stan zdrowia piekarzy, czystość piekarń, koszów i wozów. O ile wiem dzieje się to raz na kilka lat, o czem z góry powiadomieni piekarze, zaprowadzają na prędce prowizoryczny porządek, aby zaraz po wizycie wrócić do dawnego niechlujstwa.

Na szczęście nie wszystkie piekarnie lwowskie są takie. Są lepsze, choć są jeszcze gorsze.

Jeżelim Ci, szanowny Czytelniku, zepsuł apetyt refleksyami na temat lwowskich piekarń, to postaram się w następującej historyjce poprawić Ci go, opisując pogodne sceny z życia rodzinnego pewnej lwowskiej rodziny, jeszcze pogodniejsze, niż te, które niedawno pokazał nam p. Heijermans.

Obywatel naszego miasta, właściciel wielkiej kamienicy, obszernej żony i pięknej córki, szukał długo męża, który byłby godnym ręki jego córki i tak pięknej kamienicy przy jednej z największych ulic Lwowa. Miał na oku bogatego przemysłowca. Ale żona ani słyszeć nie chciała o podobnym mezaliansie, tem mniej, że do pięknej jedynaczki dobijali się, jak muchy do miodu praśnego, ludzie z nazwiskiem, z herbem, z przyszłością i o wiele przystojniejsi. Jeden z nich, bardzo przystojny młodzieniec, mający między imieniem a nazwiskiem magiczne „hr." pozyskał tak dalece zaufanie mamy, że mógł być pewnym zwycięstwa. Rozumiał bowiem, że od mamy zaczynać należy, jeśli się ma zdobyć córkę. Mama przyznawała mu się głośno, że kocha go jak syna i nawet więcej... Chętnie wierzył... Ale za to tata ani rusz... Doszło do tego, że stara zagroziła samobójstwem. Córka na pytanie ojca odpowiedziała: niech już będzie, jak mama chce. Pozwolił. Odbył się ślub i młodzi mieli wyjechać do Mentony. Ale mama zaofiarowała się do towarzystwa. Nie pomogły perswazye starego, że nie wypada młodych deranżować — stara wzięła na upór i chce jechać. W cztery oczy wytłómaczył jej zięć, że lepiej będzie, skoro przyjedzie za młodymi w tydzień później do Mentony. Zrozumiała. Młodzi pojechali. Z podróży nadchodziły listy i widokówki. Nareszcie przyszedł list z Mentony. Mama zabiera jak najwięcej gotówki i jedzie do Mentony. Te pociągi pospieszne idą bardzo powoli. Narzekała na nie przez całą drogę. Byłaby chętnie przekupiła maszynistę, ażeby poleciał jak ptak.

Tatko tymczasem odbierał od dzieci jeden list po drugim, bo w Mentonie zabawili tylko dzień i pojechali dalej. Objechali pół świata i z każdej miejscowości przysyłali do Lwowa listy, widoczki; fotografie. Stary pękał ze śmiechu. Stara ze złości. Objechała także pół świata, ale nigdzie nie znalazła swoich dzieci. Serce matki bardzo cierpiało. Gdy się jeszcze do tego wyczerpała cała gotówka wróciła do Lwowa po dwóch miesiącach podróżowania.

Przeczytała wszystkie listy. Wszędzie tam była, ale zawsze o kilka dni później. To się nazywa pech matki. Stary skonstatował, że żona jego w drodze schudła i zbrzydła. Tem ją dobił. Zasięgnęła porady lekarskiej i wyjechała bezwłocznie do Krynicy w celach kuracyjnych. Młodzi wracają tymi dniami do Lwowa. Stara beznadziejnie zdrowa

---

Nierozważnie.

Na ogólnej loteryi fantowej: Nr. 66 — gęś!
Głos z tłumu: Ma mój narzeczony.

Zbyt regularnie.

Doktor: Pozwoliłem mężowi popijać lekarstwo kieliszkiem wina. Czy zażywa regularnie?

— A jakże, już ma cały nos czerwony.

Nasze dzieci.

Ojciec: No, taki upał, że chyba pójdę do gabinetu i zabawię się w Adama.

11-letnia córeczka: Tak? to niech mamusia zabawi się w Ewę, a otomana niech będzie drzewem wiadomości złego i dobrego.

Roztargniona.

Służąca: Proszę pani, przyszedł człowiek z drewnianą nogą!

Pani: Dziękuję — nie potrzeba!

Daremnie.

Doktor: Panie Brzuszkiewicz, musisz pan skromniej żyć i używać ruchu.

— Bo widzisz, kochany doktorze, jak jem, to muszę pić, a jak piję, to jeszcze więcej jem. A potem muszę spać i od tego mój brzuszek.

Nieporozumienie.

— Wierzaj pani, że nie łatwo mi przyszło pobłogosławić związek mej jedynaczki!

— Wierzę, wierzę. Przecie nie miała paniusia w tem żadnej wprawy!

Powód, skutek.

Ojciec: Co? znowu taburet przed fortepianem złamany?

Matka: Po co też naszej Andzi dają za ciężkie sztuki!



Z wojny ros.-jap.: Ogólny widok miasta i portu Władywostoku.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

(Pomyłka Europy. — Zagadkowy kraj. — Fenomenalny naród. — Pani Dalekiego Wschodu. — Francuz o przyszłości Japonii. — Kobiety japońskie. — Gospodarstwo admirała Togo. — Mężatki w Japonii. — Życie japońskie. — Wykształcenie. — Wieczne wdowieństwo. — Nasza powieść „Córy Japonii". — Co się stanie z Portem Artura. — Rosya, Anglia i Niemcy. — W przededniu rozpoczęcia rokowań pokojowych. — Witte o pokoju. — Warunki i waruneczki. — Chiny zabierają głos. — Nasze illustracye).

Do czasu wojny rosyjsko-japońskiej mieliśmy o Japonii pojęcia bardzo błędne. Wyobrażaliśmy sobie, że Japończycy to naród lalek, takich, jakich widzieliśmy w angielskich operetkach „Gejsza" i „Mikado", że Japonki to tylko urocze, powabne, a nie liczące się wiele z moralnością kobietki, któreby można u nas porównać z kobietkami z półświatka. Tak nam przedstawiali Japonię Anglicy, tak ją przedstawiał francuski podróżnik Piotr Lotti w swoich powieściach. Wojna rosyjsko-japońska, jeden wielki tryumfalny pochód Japończyków na północ w Mandżuryi, otworzyła nam oczy, kazała nam inaczej patrzeć na Japończyków.

Japonia bowiem jest krajem, o którym, sądząc z pozorów zewnętrznych, wyda każdy podróżnik najniedorzeczniejsze sądy. Wszystko tam jest zagadkowe, osłonięte tajemnicą, wielostronne i nieuchwytne, a zarazem powabne, jak w oświetleniu przez szkła różnokolorowe.

Owe szmaragdowe góry, nadżarte nagłemi zatokami morskiemi, wstrząsane wulkanicznymi wybuchami, możnaby brać za jakiś ułamek innej planety, który spadł nagle z przestworów niebieskich w przestwory morza Żółtego wraz z małą rasą ludzi, uśmiechniętych, upartych, wojowniczych, zagadkowych, zupełnie odmiennych od wszelkiej innej rasy naszego globu. Niektórzy angloamerykańscy myśliciele oświadczają, że co najlepiej poznali przy dłuższym w Japonii pobycie, to tylko to, iż Japończyków bardzo trudno poznać.

Fenomenalny ten naród znajduje się obecnie w chwili niezwykłej w swych dziejach, w epoce niesłychanych zwycięstw, przełomu bohaterskiego, najszczytniejszego patryotyzmu. Cała jego tradycya wojownicza i rycerska, całe bogactwo zasad moralnych, zbliżonych do spartańskich, pobudzone na nowo do życia zasiłkiem nowoczesnej nauki i ideami Zachodu, wyposażyły ten organizm narodowy niesłychaną walecznością wojenną.

Toteż anatomowie duszy tego narodu twierdzą, że pogląd na przyszłość Japonii jest jedną z najtrudniejszych do rozwiązania zagadek.

Dziś trzeba mieć na pamięci że zmienił się ustrój świata. Japonia, uważana do niedawna za kraj miłych lalek, stała się dziś panią Dalekiego Wschodu, a wpływ jej na losy narodów będzie teraz niezmierny. Tak jest — na losy wszystkich narodów. Zaczęły się bowiem nowe czasy. Japonia, Korea, Mandżurja i całe Chiny staną się polem olbrzymich przedsiębiorstw, olbrzymich operacyj handlowych, przemysłowych i finansowych na całą połowę XX. wieku. Teraz potrzebną będzie znajomość nie angielskiego, ale japońskiego i chińskiego języka. O tem Europa powinna pamiętać.

Znakomity korespendent paryskiego „Journala" Ludwik Naudeau, pisząc o Japonii, tak kończy o niej swoje wywody:

1) Zdolność do wojny i żywotność narodowa Japonii są znacznie wyższe niż sądzą w Europie. Przeszło 700.000 ludzi ma obecnie pod swą wodzą Oyama, a równocześnie w samej Japonii wszystkie koszary przepełnione wojskiem. We wszystkich miastach, małych czy wielkich, odbywają na placach mustrę liczne oddziały wojskowe.

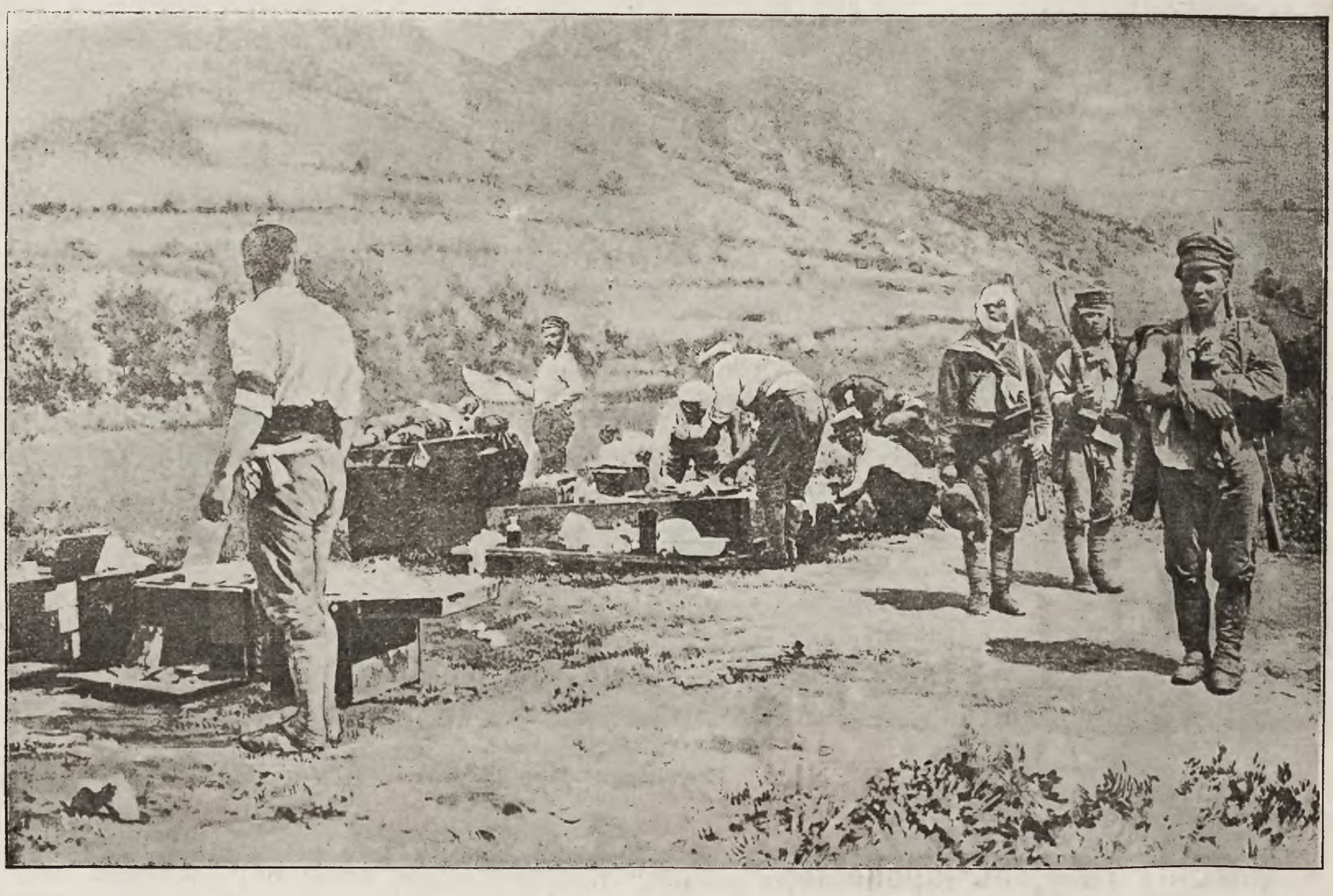


Z wojny ros.-jap.: Zatonięcie pancernika „Admirał Uszakow".

Na miejsce zabitych wyrastają kilkakroć liczniej żywi, jakby z pod ziemi. Wielką siłą Japonii jest płodność jej kobiet. Dla nich niema rozkoszy miłosnej, którejby nie uwieńczyło macierzyństwo. Jedna noc w Tokio wynagradza przyszłości narodu straty całej wielkiej bitwy.

2) Japonia cierpi obecnie bezwątpienia z powodu wojny; dotyka ją ubytek ludzi i zwiększenie podatków, więc cierpi, w tem nie ma dwu zdań. Lecz ten naród stoicki ma za sprężynę moralną dumę tak wielką, która mu nie pozwala nigdy ustępować. Japończycy uważają wojnę obecną za obronę, a więc obowiązującą ich do ostatecznych nawet ofiar i wysiłków; to też nikt z bawiących tu cudzoziemców nie słyszał ani słowa szemrania, ani zniecierpliwienia. Ani jednego.

3) Naród ten w pełni wzrostu, w pełni wybuchu żywotnego, zagrzany zwycięstwami, nie dopuści już, aby i po wojnie przestano o nim mówić. Pozostanie on już na scenie dziejowej. Posiada on tę żywotność i tę siłę rozwojową, która potrzebuje coraz to nowej podniety. Niczego nie można wykluczyć. Na szczęście lud japoński, będąc już przed wojną bardzo przemysłowym i handlowym będzie usiłował tuż po ukończeniu wojny wzbogacać się na polu przedsiębiorstw. „Robić pieniądze“, stanie się jakby aktem wiary dla nowej generacyi. W tych widokach rząd będzie sprzyjał wprowadzaniu kapitałów obcych...



Z wojny ros.-jap.: Ambulans japoński przy pracy podczas bitwy.

4) W samej Japonii prędzej czy poźniej wyłonią się pewne konflikty między żywiołem wojskowym a cywilnym. Finansiści, wielcy kupcy, hurtownicy, inteligencya, zechcą po zawarciu pokoju ująć rządy w swe ręce. Oligarchia, która je ma obecnie istotnie w swem ręku, nie będzie mogła na zawsze zatrzymać władzy. Wmięsza się w to i socyalizm robotniczy. Co więcej, Japonia w następstwie pożyczek, zaciągniętych za granicą, czuje po raz pierwszy wpływ wszechświatowych kapitalistów. Tu, jak i wszędzie, przyjdzie do walki klasowej, kastowej, ewolucyi i przewagi indywidualizmów na „niekorzyść poczucia narodowego“.

W ten sposób wyraża się o Japonii i o jej przyszłości Francuz, który od dłuższego czasu tam bawi i to, co pisze, to pisze z własnej obserwacyi i własnego doświadczenia.

Mówiąc o Japonii, trzeba stanowczo wspomnieć i o kobietach japońskich, owych „gejszach“ i tym podobnych, jak one się przedstawiają we właściwem świetle.

Gospodarstwo japońskie prowadzą wspólnie mąż i żona. Nawet listy do męża lub żony są wspólną własnością; jedno może czytać listy drugiego bez żadnej przeszkody. Od dnia ślubu żona jest skarbniczką i nadzorczynią gospodarstwa. Tak np. admirał Togo, za usługi, oddawane swej ojczyźnie, otrzymuje rocznie 3.000 yenów, czyli 15.000 koron. Całą tę sumę wręcza swej żonie, która wydziela mu „kieszonkowe“ i wyznacza sumy, potrzebne na wychowanie dzieci, służbę, ubranie, wynajmowanie domu, podatki, węgle itd. A przytem musi się ubierać odpowiednio do stanowiska swego męża, jako najwybitniejszego admirała Japonii.

Tego, czego się żąda od żony admirała, wymaga się także i od żony robotnika.

W Japonii jest wiarołomstwo niesłychanie rzadkim wypadkiem, obie winne strony karane są więzieniem. Dotychczas nie zaszedł jeszcze ani jeden wypadek, aby oskarżono żonę, której mąż znajduje się na polu walki, o wiarołomstwo.

Gdy mąż padnie, o wdowę stara się państwo. Prócz stałej pensyi dla siebie i swej rodziny, otrzymuje jednorazowo pewną sumę, stosownie do tego, jakie stanowisko mąż jej w armii zajmował.

Życie japońskie jest bardzo skromne. Ludzie ze swych mieszkań nie robią muzeów prywatnych. Są coprawda zbieracze starożytności i rzadkich okazów, ale skarby te są troskliwie zapakowane i tylko przy nadzwyczajnej sposobności pokazywane przyjaciołom. Czystość, odpowiednie i gustowne urządzenie, są nieodzowną koniecznością dobrze prowadzonego gospodarstwa. Gospodyni musi wiedzieć, gdzie najlepiej ustawić rośliny i kwiaty, a główną rolę odgrywa tutaj nie ilość zieleni, lecz umiejętne jej rozstawienie.

Kobiety mają dość czasu do czytania; niektóre rozumieją się nawet na polityce. Wiele kobiet prowadzi wielkie interesy, jak naprzykład składy sukna i wyrobów galanteryjnych.

Japonki są często bardzo ambitne, lecz najwyższą ich ambicyą jest, aby tak wychować dzieci, żeby były zdolne do służby państwowej.

W Japonii można się spotkać z wykształconymi ludźmi nie tylko wśród sfer zamożnych. Tak np. w wojsku znajduje się pułkownik, którego ojciec jest handlarzem jarzyn, a w marynarce kapitan, którego ojciec jest portyerem w łazienkach. Oficerowie ci zawdzięczają swe powodzenie w życiu nie swoim ojcom, lecz troskliwemu wychowaniu przez matki.

Kobiety japońskie utworzyły w ostatnich latach wiele związków w celach dobroczynnych, celem poprawy ich położenia domowego, sportowych i naukowych. Od czasu do czasu słychać nawet o prawie wyborczem kobiet. Gdy jednak kraj znajduje się w krytycznem położeniu, te same



Z wojny ros.-jap.: Pełnomocnicy japońscy dla rokowań pokojowych w otoczeniu swej świty.



Z wojny ros.-jap.: Japońska poczta polowa w drodze.

kobiety skubią szarpie na opatrunki i zarządzają składki na rannych żołnierzy. Według pojęć starojapońskich powtórne wyjście zamąż owdowiałej kobiety sprzeciwia się pojęciom wierności kobiecej i dlatego jest niedopuszczalne. Zwyczaj ten tak jest rozpowszechniony dziś jeszcze, że niezliczone kobiety, a wśród nich znajdują się 18 i 20 letnie, których mężowie zginęli podczas wojny obecnej, stosownie do przykazań tradycyi, obcinają swoje bujne czarne włosy, najpiękniejszą ozdobę Japonki, i tem oszpeceniem własnej osoby składają niejako śluby, że pozostaną wdowami. Pedagogowie i literaci zwalczają ten zwyczaj, cała prasa, ton nadająca życiu publicznemu, wystąpiła również przeciw niemu, żądając od młodych wdów, aby powtórnie za mąż wychodziły i rodząc dzieci, wypełniały w narodzie luki, które wojna tam wyszczerbiła. W wielkich miastach istotnie też kobiety zaczynają zrywać z surową przestarzałą tradycyą i z czasem zniknie ona może zupełnie.

Ten rys charakteru kobiet japońskich dostrzegą Szan. Czytelnicy w naszej powieści „Córy Japonii“, która, napisana przez japońskiego powieściopisarza Ocaki Tokutaro, odzwierciedla bardzo ładnie japońskie zwyczaje i ich rysy charakterystyczne.

Po kapitulacyi Portu Artura zastanawiano się niezliczone razy nad tem, co się stanie z tą potężną fortecą po zawarciu pokoju; czy będzie ona tytułem dzierżawy pozostawioną Rosyi, czy zatrzymaną przez Japonię, czy też wreszcie zwrócona zostanie Chinom. Na podstawie głosów, nadchodzących z Japonii, wyrobiło się ostateczne przekonanie, że rząd mikada, zdobywszy po raz drugi tę twierdzę, nie zgodzi się już na jej wydanie i że wobec wielkiej siły, uzyskanej przez Japończyków na morzu, niepodobnaby było pozbawić ich tego owocu zwycięstw wojennych. Tymczasem w pismach niemieckich pojawił się w tej sprawie ciekawy głos pewnego wysokiego dygnitarza rosyjskiego, który oświadczył coś wręcz przeciwnego. Oświadczenie jego brzmi:

„Rosya nie zgodzi się pod żadnym warunkiem na to, żeby Japonia miała zatrzymać na zawsze Port Artura. Z drugiej strony można przypuszczać, że Japonia nie chciałaby zawrzeć pokoju pod warunkiem zwrócenia Portu Artura Rosyi. Jedynym wyjściem byłoby więc oddanie fortecy, wraz z półwyspem Kwantuńskim, Chinom.

Leży to zresztą w interesie nietylko Rosyi, ale i innych państw np. Anglii. Nie trzeba bowiem zapominać o tem, że interes Anglii wymaga, aby Japonia nie stała się zbyt wielką potęgą na Morzu Żółtem i aby Rosya nie była pod względem terytoryalnym oddzielona zupełnie od Japonii.

Tego samego wymagają interesy Niemiec i Francyi. Jeżeli Japończycy zatrzymają Port Artura, to



Z wojny ros.-jap.: Admirał Rożdżestwieński opuszcza pokład tonącego pancernika „Borodino“ i przenosi się na torpedowiec „Bujny“.

przez kilka dziesiątków lat nie możemy im nic zrobić. Wszystkie trzy mocarstwa: Anglia, Francya i Niemcy muszą pragnąć tego, aby Port Artura nie pozostał własnością japońską. Zwrócenie go Rosyi byłoby korzystne, pozostawienie go Japonii szkodliwe dla nich — pozostaje więc w danych okolicznościach tylko wydanie fortecy Chinom, pod warunkiem, że nie odstąpi jej żadnemu obcemu mocarstwu.

Zresztą zaś, któż może wiedzieć, czy Anglia upierałaby się przy utrzymaniu umowy, dotyczącej Wejhajweju. Umowę można przecież zmienić i jeżeli Anglicy dopomogą Chinom do odzyskania Portu Artura i pokrzyżują plany japońskie, to za tę przysługę mogliby otrzymać pewną rekompensatę od Chin.

Niebezpieczeństwo, grożące Anglii na granicy indyjskiej, było przyczyną porozumienia się z Japonią. Nie może więc ono skłonić Anglii do próby pokrzyżowania zamiarów japońskich względem Portu Artura, lecz tylko do ich stanowczego poparcia. Co się zaś tyczy Wej-haj-weju, to punkt ten nie ma dla Anglii znaczenia i rząd londyński jeszcze przed wybuchem wojny zastanawiał się nad tem, czy nie byłoby najlepiej zrzec się dobrowolnie tej dzierżawy, nie przynoszącej żadnych korzyści.

Jesteśmy tymczasem w przededniu rozpoczęcia rokowań pokojowych, które mają położyć kres tej okropnej wojnie.

Jeden z petersburskich korespondentów pism niemieckich miał sposobność rozmawiać z Wittem przed jego wyjazdem. Witte oświadczył, że prasa znajduje się w błędzie, jeśli sądzi, jakoby już samo mianowanie jego, Wittego, oznaczało pokój. Pokoju bowiem za każdą cenę nie zawrze się. To tylko pewne, że ze strony Wittego, nie będzie żadnych prób przewlekania i że w razie zawarcia pokoju, starać się on będzie, by Rosya i Japonia były szczerymi wobec siebie przyjaciółmi.

Co do warunków japońskich, panuje ciągle jeszcze niepewność. Kołom dyplomatycznym warunki te nie są podobno tajemnicą, chociaż oficyalnie do wiadomości ich nie podano. Podzielić je można na dwie grupy, tj. na takie, co do których Rosya już obecnie zdecydowała się nie stawiać oporu i na takie, których przyjęcie przez Rosyę jest wątpliwe.

Do pierwszej grupy należy ewakuacya Mandżuryi, w jakiejkolwiek formie; wydanie Portu Artura i Liaotunu Japończykom; nakoniec przejście kolei wschodnio-sybirskiej pod zarząd japoński, jakkolwiek niewiadomo jeszcze, czy Japonia zechce zwrócić koszta budowy.

Bardzo boleśnie dotknie Rosyę żądanie wydania Sachalinu. Być może jednak, że uda się stworzyć formułkę dyplomatyczną, np. restytucyę, która Rosyi osłodzi gorzką pigułkę.

Natomiast w żaden — o ile dotąd wiadomo — sposób, nie zgodziłaby się Rosya na ustąpienie z Władywostoku.

Ale też Japonia nie kładzie podobno na to nacisku i nie będzie nawet upierała się przy tem, by we Władywostoku nie wolno było utrzymywać rosyjskiej floty.

Bardzo skomplikowaną okazuje się kwestya wynagrodzenia wojennego — nie dlatego, jakoby Rosya w istocie uważała je za coś uwłaczającego, ale z tej prostej przyczyny, że carstwu byłoby bardzo trudno wydostać potrzebne kolosalne sumy. We Francyi nie znajdzie kapitału na ten cel, chyba, że przeważy tam refleksya, iż szybka spłata wynagrodzenia zmniejszy niebezpieczeństwo japońskie dla Tonkinu i Anamu. Prawdopodobniejszą jednak wydaje się w kołach dyplomatycznych taka kombinacya, iż Japonia zaczerpnęłaby dla uzyskania wynagrodzenia wojennego pożyczkę u Ameryki i Anglii, Rosya zaś zobowiązałaby się pożyczkę tę spłacić. Miałoby to i tę dobrą stronę, że wpisanie Japonii obok Rosyi na listę dłużników, ugłaskałoby do pewnego bodaj stopnia ambicyę Rosyi.

Aby pełnomocnicy pokojowi pracować mogli w zupełnem odcięciu od świata, wyznaczono im schronisko w hotelu Wentworth w New Castle (Nowy Yersey), na wysepce, położonej tuż koło Portsmouth. Każdy z członków komisyj pokojowych, otrzyma apartament, złożony z sypialni, salonu i łazienki. Po przybyciu, podejmować będzie każdą misyę oddzielnie obiadami sekretarz państwowy Piercey. Gdy traktat zostanie zawarty, przed podpisaniem go wyda Roosewelt w Nowym Yorku wspólny dla obu misyj obiad.

Ze świata

Skandale za skandalami. — Ks. Filip Koburski i ks. Ludwika. — „Marmotte“ jako wicehrabina de C. — Córka królewska i szpicruta. — Ks. Ludwika i Mattasicz. — Podstęp adwokata. — Epilog sprawy.

Skandal na skandalu jedzie i skandalem pogania... I to już nie pośród owych dziesięciu tysięcy „wysokich“, ale pośród najwyższych, oczywiście wedle nomenklatury gotajskiego almanachu wysokich i najwyższych rodów. Ale dajmy pokój wstępowi; pozostawmy go gimnazyastom, piszącym „zadania domowe“, sami zaś przejdźmy „ad medias res“.

On się nazywa Filip ks. Koburski, pochodzi z rodu panującego i jest obecnie feldmarszałkiem armii austryackiej. Ona się nazywa ks. Ludwika i jest córką króla belgijskiego Leopolda, a siostrą obecnej hrabiny Longay, dawnej zaś zastępczyni tronu austryackiego, wdowy po arcyksięciu Rudolfie. Ks. Filip koburski i ks. Ludwika zawarli małżeństwo z kowenansu. Oboje sądzili, że przy wzajemnej tolerancyi będą obok siebie żyć do śmierci, ale rozeszli się dosyć rychło. Znane to dzieje, o której opowiadałem w kronice „Ze świata“. Pożycie małżeńskie skończyło się na tem, że dzięki intrygom ks. Filipa ks. Ludwika, uznana za umysłowo chorą i to nieuleczalnie, została zamknięta w zakładzie dla obłąkanych sławetnego dra Piersona pod Dreznem, w Coswig. Jak wiadomo z Coswig zdołała umknąć po kilku latach ks. Ludwika do Paryża, gdzie ją urzędowi psychiatrzy uznali za zdrową zupełnie. Do ucieczki pomógł jej były porucznik ułanów Mattasicz, dawny wielbiciel księżny. Przed laty gdy ks. Ludwikę wsadzono przymusowo do jednego z sanatoryów pod Wiedniem, porucznikowi Mattasiczowi wytoczono przed sądem wojskowym proces o podrobienie weksli na imię księżny. Sąd skazał go na kilka lat więzienia i utratę stopnia oficerskiego. Małtasicz, niesłusznie zasądzony, opuścił więzienie wcale niezłamany na duchu i postanowił ks. Ludwikę z więzienia uwolnić, a siebie zrehabilitować. Pierwszego dokonał, drugie prawdopodobnie również pomyślnie załatwi.

Wszystko to oczywiście do furyi doprowadziło ks. Filipa, który został zdemarkowany wobec świata. Nawet dwór austryacki stanął po stronie księżny i przez urząd ochmistrzowski rozkazał jak najrychlej załatwić tę sprawę. Jakoś sprawa ta szła zwykłem trybem, gdy nagle ks. Filip, skargę o rozwód, którą ma wnieść do sądu w Gotka, ogłosił w jednym z usłużnych dla niego dzienników wiedeńskich, zanim jeszcze doręczono jej ks. Ludwice. Takie postępywanie oczywiście nie zgadza się z honorem i ks. Filip, który w pewnych kołach już dawno ma przydomek „Fi-donc“, skompromitował się srodze, nie po raz pierwszy, ani też ostatni.

Księżna postanowiła odpowiedzieć na ten krok, przedtem jednakże umieściła w przychylnych sobie dziennikach odezwę, że musi to uczynić skutkiem poprzedniej prowokacyi ks. Filipa. Zanim pojawi się odpowiedź ks. Ludwiki, już ją wyręczają rozmaite dzienniki, które podają z pożycia małżeńskiego nieszczęśliwej księżny szczegóły, świadczące bardzo a bardzo ujemnie o księciu „Fi-donc“. przepraszam Filipie. I tak feljetonista J. Lorm przypomina z licznych czynów bohaterskich ks. Filipa następujący:

Onego czasu ks. Filip poznał w Paryżu pewną damę z półświata, znana pod przezwiskiem „Marmotte“, osóbkę, jak się później wykazało wielce przebiegłą. Ks. Filip zabrał ową „Marmotte“ do Wiednia i umieścił ją w pięknej willi w Hietzingu pod Wiedniem. Owa „Marmotta“ przybrała naa Dunajem nazwisko wicehrabiny de C. i zaczęła żywo zajmować się domowemi sprawami ks. Ludwiki. Gdy „Marmotte“ — to jest wicehrabina de C. wyszperała, że porucznik Mattasicz uwielbia ks. Ludwikę, wymogła na ks. Filipie tyle, że książe wziął sobie Mattasicza za adjutanta. Należy wiedzieć, że ks. Filip wiedział dobrze o uczuciach młodego porucznika dla księżny. Do czego to dążyło. Jużci „Marmotte“ wiedziała co robi. Kompromitacya księżny było jej pożądaną, jej, która była metresą księcia. Ale książe? Czy chciał żonie dać wolność, „carte blanche“, ażeby tem bezkarniej broić? Zapewne.

Ks. Ludwika brała u Mattasicza lekcye konnej jazdy — „Marmotte“ uczyniła to samo. Po niejakim czasie księżna dowiedziała się co to za osoba kryje się pod szumnem nazwiskiem wicehrabiny de C. i pokazała jej pewnego razu drzwi. Tego samego dnia popołudniu udała się księżna do ujeżdżalni, ażeby wziąć od Mattasicza lekcyę konnej jazdy. Nagle wpada na ujeżdżalnię ks. Filip i ściągnąwszy żonę z siodła obsypuje ją gradem obelg za to, że nie chciała wdawać się z jego metresą. I nie czekając na odpowiedź, podnosi z ziemi szpicrutę, którą opuściła księżna, i z całej siły smaga nią swoją żonę. Dopiero Mattasicz ubezwładnił rozjuszonego brutala. Gdy robotnik obije swoją żonę, sąsiedzi sprowadzają policyę i pogotowie ratunkowe, a nazajutrz w dziennikach pojawia się notatka o „barbarzyńskim mężu — ale ks. Filip, to co innego... „Fi-donc“.

Po tej scenie opuściła ks Ludwika pałac Koburski w Wiedniu, ażeby szukać opieki u swoich rodziców. Matka księżny była to arcyksiężniczka austryacka Henryka. Ks. Ludwika, opuściwszy pałac Koburski, nie wiedziała nawet, na który dworzec się udać, ażeby wyjechać do Belgii. Gdy wreszcie przybyła do zamku Laeken pod Brukselą nocną porą, żołnierz, stojący na posterunku nie chciał jej puścić do zamku. Dopiero komendant straży, który ją poznał, kazał o przybyciu córki zawiadomić króla i królową. W zamku rozegrała się krótka scena. Król Leopold rozkazał córce natychmiast wracać do Wiednia. Ks. Ludwika, złamana na ciele i duchu, opuszczona przez ojca matka nie miała żadnego wpływu — powróciła do Wiednia i poszukała opieki u... Mattasicza.

Rozpoczął się znany romans z Mattasiczem. Ks. Filip pozwolił żonie skompromitować się po to, ażeby ją następnie zamknąć w pałacu, którego pilnowali płatni dobrze agenci policyjni. Ale Mattasicz zdołał ks. Ludwice ułatwić ucieczkę z balkonu, który wznosił się na 20 stóp nad ziemią. Umknęli oboje do Frankfurtu, potem do Wienbadenu, skąd udali się na Riwierę. W willi „Il paradiso“ koło Nicei znalazła wreszcie księżna po tylu utrapieniach pożądany spokój. Ale spokój ten trwał nie długo. Ks. Filip, wiedząc, że wszystko na świecie obraca się dokoła monety, ogłosił w dziennikach paryskich, że nie będzie żadnych długów płacić za swoją żonę. Ks. Ludwika opuścić musiała drogą Riwierę i udała się do Kroacyi na zamek Lobor, który był własnością hr. Keglewicza, ojczyma porucznika Mattasicza.

Ale i tam ks. Ludwika niedługo przebywała. Policya zagrzebska zawiadomiła ks. Filipa o pobycie jego żony w Loborze, a książe wysłał tam swojego adwokatą, osławionego dra Bachracha w towarzystwie jakiegoś jegomościa, którego księżna uważała za sekretarza adwokackiego. Dr. Bachrach wezwał księżnę, ażeby opuściła Mattasicza i zamieszkała na pewien czas w „cichem ustroniu“, które jej wyznaczy pan małżonek. Księżna odmówiła, a dr. Bachrach powrócił do Wiednia.

W trzy dni później, gdy ks. Ludwika znajdowała się w Zagrzebiu w hotelu Prückena, zjawił się u niej znowu dr. Bachrach tym razem w towarzystwie kilku jegomościów. Adwokat Bachrach oświadczył, że na „wyższem“ miejscu uznano potrzebę, ażeby księżna z powodu rostroju nerwowego udała się do sanatoryum.

— Ależ ja jestem zdrowa! — zawołała księżna.

— O tem tylko lekarz może wydać sąd — odparł adwokat.

— Niech więc zbada mnie lekarz.

— To nie potrzebne już — odrzekł adwokat. Ów pan, który pierwszy raz odwiedził ze mną księżnę, był psychiatrą i orzekł, że księżna cierpi na rostrój nerwowy.

Potem dodał adwokat uwagę, że Mattasicz pod zarzutem podrabiania weksli znajduje się we więzieniu i że księżna może go wyratować tylko w ten sposób, jeżeli podda się woli męża i zamieszka w sanatoryum. I księżna przystała na to. Odwieziono ją do Wiednia i umieszczono w zakładzie dra Obersteinera w Döblingu. Było to pierwsze jej więzienie, po którem nastąpiły inne, aż wreszcie z Coswig przy pomocy Mattasicza zdołała księżna umknąć. Lekarze austryaccy orzekli przed laty że ks. Ludwika jest nieuleczalnie chora na paraliż postępowy — dzisiaj księżna jest zdrowa i walczy zwycięsko o swoje prawa. Czy zawiniła? Tak jest — ale kto ją do błędu zawiódł, kto wtrącił do kałuży?

Za późno spostrzegłem, że jedną sprawą wypełniłem całą kronikę. Ale ta sprawa jest rzeczywiście światową i obejmuje całą galeryę typów z rozmaitych sfer społecznych. Godziło się o niej pomówić jako o *signum temporis*. *k. e.*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

10 (Ciąg dalszy).

Pierwszy to raz członek familii Franciszka Springera zdobył się na odwagę i wystąpił otwarcie przeciwko doktorowi. Amelia spojrzała ze strachem, czując, że burza wisi w powietrzu, ale adwokat nie stracił ani na chwilę spokoju, tylko znów odezwał się swym słodkim, łagodnym głosem:

— Prawem opiekuna, moje dziecko, opiekuna, ktćzy przedewszystkiem dba o dobro swojej kuzynki!...

— To zażądaj pan tego listu wprost od Heleny! — odpowiedziała krótko Albertyna. — Odemnie go pan nigdy nie dostaniesz!...

— Czy tak? — zapytał chłodno doktor Harras — czy nawet wówczas, gdy ci powiem, że zawiera on może coś takiego, co twojego ojca zaprowadzi... do kryminału?!

Albertyna cofnęła się przerażona; z ust jej matki wyrwał się krótki okrzyk zgrozy i przerażenia. Nastała chwila grobowego milczenia, poczem młoda dziewczyna dobyła list z pod płaszczyka i nie mówiąc ani słowa, podała go doktorowi. Ten ujął go w rękę, skinął jej grzecznie głową i w tej chwili otworzył kopertę. Co dalej się stało, Albertyna nie wiedziała, bo, krzyknąwszy doktorowi: „podlec!“, sama czemprędzej wybiegła na ulicę.

Zmienione plany.

W pół godziny później doktor Harras siedział wraz z Franciszkiem Springerem w jego prywatnej kancelaryi, a z poważnego wyrazu twarzy obu mężczyzn poznać było można, że naradzali się nad rzeczami, które miały dla nich niesłychaną wagę. Drzwi gabinetu były zamknięte na klucz i nikt nie mógł zaskoczyć ich niespodzianie, nikt też nie odważyłby się podsłuchiwać ich, a jednak i doktor i Springer porozumiewali się cichym szeptem. Na biurku przed nim leżał list Helenki do Archera i o tem też była mowa.

— Wiec pan uważasz sytuacyę za bardzo poważną? — mówił Springer, ocierając pot z czoła swą jedwabną chustką — przecież Helenie na niczem u nas nie zbywa i jeśli ją coś trapi, to pewnie tęsknota za Ameryką, lecz takie uczucia u młodych dziewcząt mijają bardzo prędko!...

— Wygodny jesteś mój panie Franciszku i z lenistwa lecisz z zamkniętemi oczyma w przepaść! Ale pamiętaj, uwolń mnie od swych skarg i żalów, gdy już z nią runiesz dzięki własnemu ospalstwu!...

— Doktorze, czegóż ty się tak irytujesz? Wiesz przecie, że ja zrobię wszystko, co każesz, miej-że więc dla mnie choć jakie takie względy! Ach gdybyś ty wiedział, w jakim ja się stanie znajduję teraz, jak wstrętną jest dla mnie obecność tej dziewczyny!...

— Wyobrażam to sobie! — rzekł doktor z zupełnem spokojem — ale kto już raz zaczął iść w pewnym kierunku, temu nie wolno się cofać! Przedewszystkiem zaś poki czas jeszcze trzeba bronić swej skóry, mieć uszy i oczy na wszystko otwarte. Helena nie jest taka łagodna i cierpliwa, jak to myśleliśmy z początku a i ten jej amerykański przyjaciel dyablo mi się nie podoba! Tu trzeba raz zrobić koniec mój kochany, a im prędzej to się stanie, tem lepiej dla nas!..,

— Łatwo to powiedzieć, doktorze! Ale cóż ja mam czynić? Czy nie robiliśmy, co tylko było w naszej mocy? Moja żona cały dzień nadskakuje jej, jakby jakiejś księżniczce, prawi jej takie czułości, że aż mnie samemu niedobrze się robi, gdy słucham tej blagi, a i Cezar dokłada wszystkich sił, żeby się jej tylko przyporobać!...

— A tu — rzekł doktor. biorąc list Heleny do ręki — mamy dowody, jak to wszystko cudownie działa!...

— Czytałem! czytałem, ale cóż na to poradzić? O ile widzę, ona Cezara wprost znosić nie może. Czy ty, doktorze. uważasz naprawdę to małżeństwo za tak nieodzowne?

— Hm! mnie na niem tak gwałtownie nie zależy! Zdaje mi się jednak, że Helena doszedłszy do pełnoletności, zechce się dowiedzieć coś o swoim majątku a przytem może wyjść za mąż i wówczas będziemy mieć do czynienia nie z niedoświadczonem dziewczęciem, lecz z energicznym mężczyzną, naprzykład może z tym Amerykaninem Archerem, a wówczas ciężkoby nam było!... Kto wie nawet, czy ten pan inżynier nie zjawi się tutaj niebawem na nasze nieszczęście...

— Tak! na nasze nieszczęście! Ale opinia publiczna będzie po naszej stronie! Naszym zręcznym opowiadaniom uwierzyło przecież całe miasto!...

Doktor parsknął szyderczym śmiechem.

— No, mój kochany! Całe miasto jutro już będzie mówić zupełnie co innego, jeśli tylko znajdzie się ktoś taki, kto potrafi wmówić swe zdanie w tych ludzi! A ręczę ci, że ten Amerykanin. to bardzo niebezpieczny człowiek! Wiem zaś to z tego, niby nic nie mówiącego listu Heleny. Przytem zaś pamiętaj, że on znał ojca Heleny, znał jego charakter i stosunki majątkowe, a zatem odrazu poznałby naszą fałszywą grę i postarał się ją zdemaskować!...

C. d. n.

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

2 (Ciąg dalszy).

Innych krewnych nie posiadał. Gdy umrę, nie będzie komu odwiedzać jego mogiły. Choć z głęboką wiarą twierdził, że dusza jego dostanie się do raju, nie przechodząc w inne istoty, czyż jednak może on dostąpić tego, zabiwszy na wojnie tylu ludzi? Hotoke sama nie pozwoli wstąpić mu do raju. Wstąpiłam do klasztoru i tem skrócę jego męki w życiu pozagrobowem. Takim jest obowiązek wdowy. Jeśli przyjdzie mi nawet z nim się rozstać, okażę mu tę małą przysługę w dowód wdzięczności. Oto. dlaczego widzisz mię w szatach zakonnych. Najsmutniejsze jest -- to, że mnie tak mało pojmował. Zresztą miał względem mnie pewne wątpliwości, dlatego, że pożycie nasze nie trwało nawet miesiąca. Jak dążyłam do niego, nim jeszcze zostałam jego żoną!

Podróżna zapytała naiwnie:

— A więc byliście zakochaną parą?

— Kochałam go, będąc na służbie u swej pani. W swej nieoględności pisywałam mu często listy miłosne. Lecz on, jako człowiek uczciwy, nie odpowiadał mi. Zachorowałam z miłości. Dzięki pomocy mego pana, przychylnego dla mnie, życzeniu memu stało się zadość.

Wkrótce po tej radości rozpoczęła się wojna z sąsiednią okolicą. Mąż mój poszedł walczyć. W dzień jego wyjazdu nie mogłam jeść, mówić i tylko spoglądałam w twarz jego. Rozgniewał się na mnie, że byłam blada, twierdził, iż to nie przystoi żonie żołnierza. Ale czyż mogłam nie płakać, żegnając się z nim na zawsze? Podniósł hełm, pochodzący jeszcze od jego przodków i włożył go. Przyszyłam do tego hełmu nowe zawiązki, i on ucieszył się; rzekł tylko: „zawiązki te są od ciebie, nie mogę więc być tchórzem“.

„Oczekuj mego powrotu“. Słowa jego i teraz odzywają się w mem sercu bolesnem echem. Pragnął mnie uspokoić. Zostawił list w skrzyneczce. Miało to znaczyć, iż poszedł, by zginąć śmiercią bohatera.

Dlaczego ukrywał przedemną prawdę? Gdyby wyznał mi wszystko, oczekiwałabym go teraz w raju.

Lecz rozkazał mi żyć dalej i nawet pójść za mąż za drugiego; prócz tego pozostawił mi dokument rozwodowy, ale rozerwałam go natychmiast.

Wspomnienia były nad siły biednej kobiety; kobiety; wydawało się jej, iż ma przed sobą obraz męża.

Podróżna wtedy odpowiedziała:

— Tak, mam racyę, lecz on miał ciebie tylko na myśli.

— Nie powinnaś mieć do niego urazy, gdyż uczynił to wszystko przez wzgląd na ciebie.

— Ach, jak głupie jesteśmy, my kobiety — rzekła gospodyni. — Posądzałam męża o srogość, lecz nie wiedziałam, jak głęboko go kocham. Ilekroć poczynam się modlić, by ubłagać niebo o przyjęcie go do raju, modlitwa staje się powierzchowną. Twarz Buddy przeistacza się w twarz mego męża. Miłość dniem i nocą włada mną, nie mogę znaleźć spokoju. Mniszką jestem tylko ciałem, dusza moja pozostała świecką. Przytwierdziłam list jego do namiotu, żeby mieć przed oczyma jego pismo. Kiedy wieczorem zasypiam w tym namiocie, wydaje mi się, iż mąż mój jest przy mnie.

Nie obawiam się kary Hatoke Sama, nie lękam się mąk w życiu przyszłem; dla mnie mąż jest Hatoke Sama i Kami Sama. Natychmiast poszłabym w życie pozagrobowe, aby z nim razem znosić męki.

Ach, gdyby pan mój żył jeszcze! Mógłby mi okazać pomoc. Lecz wkrótce po śmierci mego męża, pan mój i pani zakończyli samobójstwem. Dom Damjo — zrujnowany. Porosła go trawa.

— Pani twoja też umarła? — zapytała przybyła.

— To wielkie nieszczęście. Lecz tak było sądzone! Będziemy spoglądać w przeszłość, jak na miniony sen i poczniemy modlić się bogom; smutek nie wraca umarłych napowrót.

Porzuć wspomnienia i stań się mniszką i sercem.

Jednakże nie powinnam udzielać ci rad, wybacz mi, proszę i uważaj mię nadal za swoją siostrę..

— Tyś bardzo dobra — rzekła gospodyni — dziękuję ci bardzo za współczucie. Opowiedziałam ci całą swą przeszłość, opowiedz mi także o swoich losach.

Będę z tobą dzieliła swe troski i jeśli możliwe, nieść ci będę pociechę.

Podróżna płakała nad niedolą obcej kobiety i teraz przyszła jej kolej użalić się na los własny.

Zamilkła na chwilę, a potem, zebrawszy siły, rzekła:

— Proszę cię, wysłuchaj mnie.

— Oto moja historya.

II.

Na polu bitwy.

Pola i wierzchołki drzew w lesie pokryte są śniegiem. W powietrzu krążą białe płatki. Za wzgórzem, między brzegami, pokrytemi lodami, płynie strumień. Stoi tam stara śliwa; pokryta jest już kwiatami, lecz kwiaty i gałązki okrywa śnieg. Gdzież człowiek, który naruszył to piękno?

Na jednej gałęzi wiszą trzy głowy ludzkie; krew spływa z nich jeszcze. Halabarda o zarębionem ostrzu, podobna do piły, cała skrwawiona, stoi oparta o pień drzewa. Na ziemi siedzi młody rycerz. Pancerz jego przebity w kilku miejscach. Przed nim czerwienią się krwawe plamy; włosy jego poplątane; wzdłuż całego czoła widnieje rana. Na podbródku także widoczne jest poranienie. Wargi jego zsiniały już, oczy poczerwieniały, twarz okryła się bladością.

Przykłada on do warg garść śniegu i oddycha nim, potem pochyla się nad brzegiem, rozbija lód nadbrzeżny i spogląda na odbicie swe w wodzie. Obmywa rany wodą i rozgląda się jeszcze. Lewą ręką opiera się na śniegu i stara się podnieść; w tej chwili spostrzega obok siebie nowego wroga. Przybysz nagle uderza go szablą w prawy bok. Rana jest tak głęboka, że ostrze szabli zawadza o kość.

Rycerz jęczy i obnaża miecz, wykuty przez znakomitego kowala, Jasziwora. Jednem uderzeniem odcina dolną część szabli; nieprzyjaciel cofa się. Teraz dopiero rycerz nań spogląda. To — żołnierz w maleńkim pancerzu.

Żołnierz rzuca drewnianą rękojeść szabli i również obnaża miecz. Wysoko wymachuje nim w powietrzu, jakby chciał porąbać przeciwnika. Młody bohater woła: „Zuchwały niewolniku!“ Lecz on nie odpowiada, uderza. Bohater cofa się w tył o kilka kroków i rzuca ostrze miecza, wyciągnięte z ciała, prosto w pierś przeciwnika...

Żołnierz odskakuje i powtórnie zamierza się mieczem.

— Ach, zbyt jesteś zarozumiały! — woła młody bohater, choć ledwie z bólu trzyma się na nogach.

W pozycyi półleżącej odbija razy.

Tak walczą oni przez czas pewien. Tygrys wstaje tygrysem, mimo to, iż jest osłabiony.

Nieprzyjaciel otrzymał ranę w lewe ramię i cofnął się. Wówczas bohater zadał mu drugi cios i uciął mu głowę. Osłabiony zwycięzca padł na ziemię.

Lecz nagle znowu usłyszał tentent konia. Przyjaciel to, czy wróg? Jeśli to przyjaciel, natenczas śmiałem uderzeniem rozpruje sobie brzuch i poprosi go, by uciął mu głowę: wszystko jedno, więcej żyć już nie będzie. Lecz jeśli to wróg? Chociaż z trudnością już trzyma się na nogach, stanie z nim jednak do walki i postara się, zabiwszy go, zasłużyć na sławę. Ktokolwiek to będzie, okaże się przygotowanym. Zmywa śniegiem krew z miecza i oczekuje.

Podjeżdża jeździec w ciemno-szarym pancerzu, hełm jego osunięty jest na oczy. Brzeg hełmu ozdobiony jest skórą lwa i złotą blachą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nie uwierzyli.

(Dokończenie).

Rozgorączkowana wyobraźnia unosi ich w inny świat.

Są blizcy obłędu. U obu gorącym strumieniem bucha krew w żyłach, a w głowach wirują myśli bystre i oślepiające jak błyskawica.

— Kizlar, gdzie kłaść? — pyta Warnak — z gorączkowym pośpiechem napycha kieszenie srebrnemi rzeczami.

— Zaczekaj przyniosę, pokrowiec.

Kizlar wbiega do salonu, po chwili wraca z pokrowcem.

— Rzucaj tu... ciszej... tss... nie rób hałasu...

I Kizlar uśmiecha się do siebie ze szczęścia. Warnak ledwo trzyma się na nogach. Namiętność go wyczerpała. Ale jeszcze płonie żądaniem. Na kościstą twarz wystąpił rumieniec, szare oczy rzucają fosforyczne blaski nozdrza rozdymają się.

Oddycha szybko i śmieje się bez dźwięku.

— Kizlar, to nasze?

— Nasze — szepcze w odpowiedzl Kizlar.

— Dosyć, Kizlar... Dosyć, kochanie... Noc nie czeka.

— Zaczekaj, zaraz, no, pozwól jeszcze rozpatrzeć się.

— Dosyć, kochanie, chodźmy.

Obładowani łupem, towarzysze dążą do wyjścia przez salon. Warnak ujrzał zegar z bronzu i przystanął.

— Dobry zegar. Brać?

— Bierz.

Warnak zdjął szklany klosz i wrzucił zegar do pokrowca.

— Zaczekaj, co to za gęba? Kizlar zerwał ze ściany wielki obraz, nogą wydarł płótno, połamał ramę i wyszli.

Wyszli.

Warnak z ciężkim, naładowanym pokrowcem szedł naprzód, za nim ze szkatułką Kizlar.

Wiatr szybko ich otrzeźwił i naraz ogarnął ich strach. Kizlar stopniowo stygł i ledwo wlókł nogi.

Ogarniał go sen i ciągle widział przed sobą głębokie jamy. Oczy zamykały się, myśl była bezczynna i tylko chwilami, gdy nadchodziły porywy lęku, zaczynał drżeć i budziła się w nim znowu usypiająca energia.

W głowie Warnaka jeszcze tliła świadomość.

Pragnął zaraz wiedzieć, ile Kizlar znalazł pieniędzy w biurku.

Nareszcie wyszli z miasta. Szli ogrodami i milczeli. Mały domek Gulasza samotnie stał wśród rozległego pustkowia.

Zaledwie dostrzegalną szarą plamą wysuwał się w ciemności bezgwiezdnej nocy.

Wielki, czarny pies, posłyszał kroki, podniósł głowę, węszył powietrze l szybko szedł na spotkanie.

Warnak omało nie upadł, potknąwszy się o psa. Pies z cichym skowytem odskoczył.

Z ciemnej toni towarzysze weszli do malutkiej izby o niskim suficie.

Objęła ich ciepła cisza. Wzruszenie minęło i było im dobrze. Gospodarz długo zamykał drzwi.

Pies został na podwórzu. Warnak zrzucił z siebie pokrowiec na podłogę. Srebro zadźwięczało.

Jedyne małe okienko zakryte było kwadratową deską. Na drewnianym, niemalowanym stole, paliła się blaszana lampka z papierowym kloszem.

Wszedł Gulasz — łysy, pomarszczony starzec, o chytrych, małych, biegających oczach.

— Pokażcie, pokażcie dziatki, coście przynieśli.

Mówił, jak dziecko, szybko, niewyraźnie, nie wymawiając niektórych liter.

Kizlar postawił szkatułkę i odszedł — rzucił się na ławkę. Owładnęła nim senność, osłabł.

Gulasz roztorzył szkatułkę.

— Lichota, dzieci, lichota.

— Ani jednego kamienia. A u ciebie co, Warnak? Pokaż, dziecko, pokaż.

Warnak podniósł pokrowiec i chciał wszystko wysypać na stół, ale Gulasz z przestrachem zaczął machać rękami.

— Nie można tak... upamiętaj się, nie można robić hałasu.

Wówczas Warnak zaczął wydostawać jeden przedmiot po drugim i podawał Gulaszowi. Na stole sformowała się góra złotych, srebrnych i bronzowych rzeczy.

— To wszystko tylko do przetopienia — rzekł znowu Gulasz i starannie zaczął oglądać każdą rzecz, szukając próby.

— Trzy Katarzynki... Więcej nie warte — mruczał.

— Bardzo mało dajesz — zauważył Wornak.

— Mało, ja, dziecko, nie zmuszam. Nieś do innej nory. Może ci więcej dadzą.

W tej chwili pod domem zawarczał pies i Gulasz umilkł. Upadł piersiami na rzeczy, otworzył szeroko bezzębne usta i patrzał przerażonemi oczami na Wornaka. Izbę zalegała przygnębiająca cisza.

Coś ciężkiego, skrzypiącego zbliżało się do domku.

Dał się słyszeć czyjś świszczący, ochrypły głos.

Pies warczał. Teraz słyszeli wyraźnie skrzyp kół.

Domek drgał cały. Po chwili wszystko to oddalało się i zamarło w dali. Pies umilkł.

Gulasz podniósł się, spojrzał na śpiącego Kizlara.

— Kizlar, spisz?

Kizlar skoczył, jak gdyby go ktoś zimną wodą oblał.

— Ja? Nie. A co?

— A ot, ciekawe, co ty znalazłeś w biurku, pokaż.

— W jakim biurku?

Kizlar, nie rozumiejąc, patrzał na nich, potem przypomniał sobie, podszedł do stołu, rozpiął kurtkę i wyciągnął wszystkie papiery.

Nad papierami schyliły się trzy głowy: czarna Kizlara, jasna Wornaka i łysa, żółta czaszka Gulasza.

— Iii — jak głupi — zapiszczał Gulasz i podniósł głowę.

— Marne papiery. Możesz się zasypać, lepiej spalić.

— A mnie co z nich... nic nie warte... pal.

— A gdzie pieniądze? — zapytał Warnak.

Pieniędzy nie było.

Wornak i Gulasz spojrzeli na siebie znacząco.

— Naprawdę? — zapytał się Wornak.

Przy tych słowach jego długa, koścista twarz wykrzywiła się, a lewe oko zmrużyło się chytrym wyrazem.

Kizlar odwrócił się i złapał spojrzenie Wornaka.

Śniada twarz zaczerwieniła się, a w ciemnych oczach zabłysły ogniki.

— Daję słowo, nie było. A wy co? Nie wierzycie?

Zbliżył się do nich.

Wornak, ty przecież tam byłeś.

Milczenie, pełne niewiary, było całą odpowiedzią.

— Ach, dyabły! nie wierzycie? Zmówiliście się, czy co? Możecie szukać.

Kizlar nieprzytomny był z oburzenia. Zdjął z siebie szybko surdut i rzucił w twarz Gulasza.

— Tu jest wszystko, szukajcie.

— Ja złodziejów nie rewiduję, to chytry naród. W nocy, idąc drogą, pół świata mogą schować.

— Więc myślisz, że ja schowałem pieniądze? — wykrzyknął Kizlar.

— Gulasz, wierzysz, czy nie?

Kizlar przyskoczył do Wornaka.

— Wierzysz, czy nie?

— Pokaż pieniądze, a uwierzę.

Krzyk rozpaczy wyrwał się z piersi Kizlara.

— Dyabły, co to znaczy?

Stanął na środku pokoju i wilgotnemi, gorącemi oczami prosił tych ludzi, aby mu uwierzyli.

— E, nie rób głupiego, pokaż pieniądze.

— Oj, Wornak, nie znieważaj mego honoru. Będzie źle — wycedził przez zaciśnięte zęby Kizlar.

Wornak uśmiechnął się z pogardą. Fala wściekłości porwała Kizlara, rzucił się na towarzysza.

— Powiedz, wierzysz, czy nie? — zasyczał i silną ręką przycisnął Wornaka do ściany.

— Cicho, dzieci, nie róbcie hałasu, ciszej.

— Otóż, masz — dusząc się chrapał Kizlar i cofnął się w tył.

Głowa Gulasza wysunęła się z szerokiego szlafroka i mała, zmarszczona twarz zastygła ze strachu.

Wzburzony, drżący Kizlar stał pośrodku pokoju z okrwawionym nożem w ręku. Z szerokiego ostrza jedna po drugiej spływały czarne krople krwi. Gulasz spojrzał na Wornaka. Wornak, konwulsyjnie czepiając się ściany, chylił się na bok.

Z pod piersi, z szerokiej rany szybko płynęła krew.

Gulasz przerażony, podbiegł do stołu, zgasił lampę i z przestrachem spojrzał na okno.

Przez szczeliny drewnianych desek, ciekawie wdzierały się pierwsze blaski świtu.

KONIEC.

Kącik humorystyczny.

Pojętny.

— Doktorze, obawiam się recydywy zeszłorocznego cierpienia.

Doktor: Wiem, wiem — świetnie pani się zeszłego lata bawiła w Ostendzie.
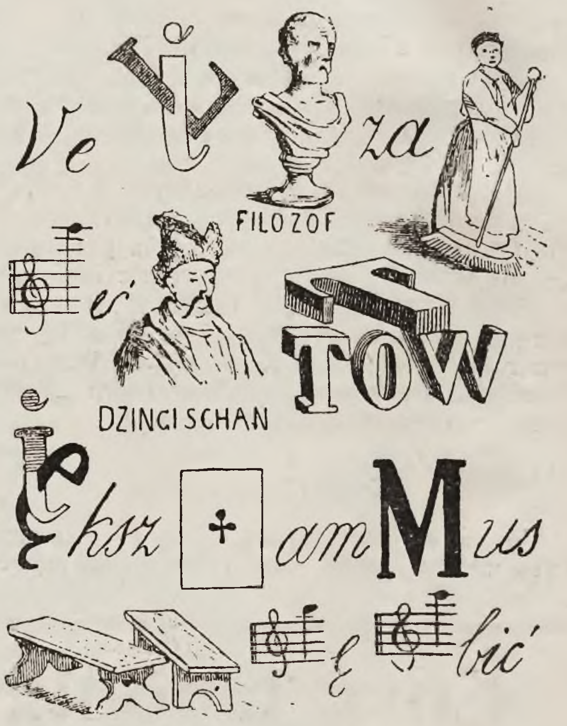
Praktyczny.

Egzaminator: Gdy operacya nieodzowna, lecz wynik dla pacyenta nader wątpliwy, cóż kandydat uczyni?

— Każę sobie z góry zapłacić.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożyła dr. H. M.

I.

Pierwsza litera; *druga* z wodą płynie,
Trzecia litera — łatwo ją zgadniecie,
Całość — kraina najpiękniejsza w świecie,
Z mogił, kurhanów słynęła i słynnie.

II.

Jeśli masz, bracie, silne *pierwsze, trzecie*,
Nie zaznasz biedy na tym bożym świecie.
Zważaj, by *drugie trzecie* proste były,
Żeby cię w przepaść nie zaprowadziły.
Trzecia, pierwsza — potrawa lubiana,
W różny sposób przyprawiana
Całość — wszystkiego już wam nie odsłonię,
Był to król światły na polskim tronie.

III.

Pierwsze — drugie słyszysz czasem,
Kiedy wiosną idziesz lasem;
Tam też znajdziesz *trzecie — czwarte*,
Co dobrego smaku warte.
Drugie trzecie nad świtaniem
Budzą głośnem odzywaniem.
Pierwsze — drugie — trzecie — drugie
Głośne, przeciągłe i długie.
Trzecie — drugie rzadko w borze,
Za to dużo jest w oborze.
Całe jesz świeże, mielone,
Gotowane i pieczone.

IV.

Pierwsze — drugie — to zapłata
Za występki z ręki kata.
Pierwsze — trzecie pijesz z ranka
Kiepskie, jeśli zła śmietanka.
Drugie — trzecie — imię miasta
Na rozległych ziemiach Piasta.
Pierwsze — czwarte — jakby burza
Spada nagle wśród podwórza.
Pierwsze — piąte ojciec syna
Kiedy mu się psuć zaczyna,
Piąte — pierwsze płynne, wieczne,
W czas roztopów niebezpieczne.
Drugie wspak — *pierwsze* — wśród troski
Ostało się z łaski Boskiej.
Trzecie — czwarte — imię znaczy,
Częste wśród carskich siepaczy.
Całość przy każdym cmentarzu znajdziecie,
Chyba ją łatwo teraz odgadniecie.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya książkę Bełzy p. t. „*W ojczyźnie bohatera*".

Rozwiązania z Nru 30.

Rebus: Przy cierpliwości i staraniu wiele człowiek dokonać może.

Szarada: Rogal.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: St. Ciechanowski Stary Sambor, Fr. Josefert Kraków, A. St. Bassara Niwiska, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Ramoczyńska Borysław, S. Samueli Limanowa, T. Domain Sanok, K. Fuchs Peczeniżyn, M. Rożański Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. St. Ciechanowski w Starym Samborze. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.